

Biznes na własnych zasadach



Własny biznes wymaga nie lada rozwiązań

Własna firma to kusząca wizja niezależności, ale rzeczywistość szybko weryfikuje marzenia. Stosy dokumentów, finansowa niepewność i nieustanna walka o klientów to chleb powszedni małych przedsiębiorców. Mimo to udowadniają oni, że nie wielkość ma znaczenie – liczą się pomysł, determinacja i umiejętność wyłamywania się z utartych schematów.

Małe firmy funkcjonują w rzeczywistości pełnej wyzwań – od wysokich kosztów prowadzenia działalności, przez biurokrację, po trudności z dotarciem do klientów. Właściciele mikroprzedsiębiorstw często muszą łączyć wiele ról jednocześnie: są nie tylko ekspertami w swojej branży, ale też księgowymi, marketingowcami i działem obsługi klienta w jednej osobie. Brak dużego budżetu na reklamę sprawia, że muszą polegać na jakości oferowanych usług, poleceniach i dobrze przemyślanej strategii działania. Kluczowe staje się budowanie silnej marki i lojalności klientów.

Trudności na drodze

Prowadzenie własnej firmy wiąże się z różnymi wyzwaniami. – Największą przeszkodą była konieczność przełamania się oraz wyjścia ze strefy komfortu bycia pracownikiem, który odpowiada tylko za wąski odcinek pracy, i stanie się szefem, który odpowiada za wszystkie poziomy działania firmy – opowiada właścicielka sklepu Dona Dekoracje, Donata. – Największym zaskoczeniem był brak stabilizacji i przewidywalności zysków oraz to, że w pewnych okresach w roku zdarzają się straty, a w innych duże

zyski. Trzeba to odpowiednio rozplanować, żeby biznes przetrwał – dodaje.

– Najbardziej zaskoczyło mnie to, ile satysfakcji i radości sprawiają opinie klientów zadowolonych z produktów oraz większe zamówienia do realizacji – wyznaje Natalia Posieczek, która niedawno musiała zamknąć swój mały biznes z branży odzieżowej.

Prowadzenie własnego biznesu bywa ekscytujące, ale nie zawsze jest usłane różami. – Na początku dawało mi to poczucie wolności, ale z czasem liczba problemów wynikających z zewnętrznych czynników, takich jak pandemia COVID-19 czy stan gospodarki, stała się przytłaczająca i stresująca – opowiada Donata. Choć własne przedsiębiorstwo oferuje elastyczność, to jednak wymaga również dużej odporności na zewnętrzne trudności, które mogą mocno wpłynąć na stabilność biznesu.

Samo założenie własnej firmy bywa problematyczne. Według strony rządowej biznes.gov.pl, otwarcie działalności opiera się na kilkunastu krokach. Po upewnieniu się, że spełnia się warunki (czyli jest się pełnoletnim), trzeba dowiedzieć się, czy można zarejestrować firmę. W tym celu zgłasza się do CEIDG. Jeśli działalność nie przynosi zysków na poziomie 75% kwoty minimalnego wynagrodzenia obowiązującego w danym roku, nie trzeba rejestrować się w CEIDG i można pozostać działalnością nierejestrowaną. Następnie wybiera się nazwę firmy oraz podaje jej adres – stały w jednym lub wielu miejscach. Kolejny przedsiębiorca, który rejestruje firmę, musi przypisać swoją działalność do określonego kodu w Polskiej Klasyfikacji Działalności, czyli wybrać kod PKD. Kody te są uniwersalne dla różnych firm – odnoszą się do tego, czy działalność ma się zajmować – chociażby produkcją tkanin bawełnianych (PKD 13.92.Z) czy naprawą zegarów, ze-

garków oraz biżuterii (PKD 95.25.Z). Następnie sprawdza się, czy trzeba mieć pozwolenie (dotyczy to głównie uprawnień zawodowych czy wymogu specjalistycznego sprzętu). Kolejnym krokiem jest wybór formy opodatkowania dochodów i sprawdzenie, czy należy opłacać VAT. Trzeba także zdecydować się, jak prowadzić księgowość (forma uproszczona lub pełna) i założyć rachunek bankowy działalności. Następnie sprawdza się, jakie składki trzeba płacić oraz decyduje, czy potrzeba pełnomocnika. Potem można już rejestrować firmę online.

Satysfakcja nie do opisanania

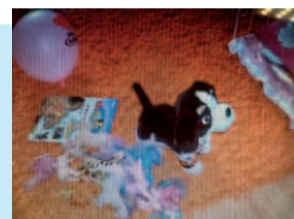
Choć prowadzenie firmy wiąże się z wyzwaniami, daje też ogromną satysfakcję i poczucie niezależności. Donata i Natalia podkreślają, jak ważna jest kontrola nad własnym biznesem i możliwość kształtowania jego rozwoju. – Największą satysfakcję daje zadowolenie klientek i poczucie, że z własnego pomysłu powstała dobrze funkcjonująca firma – opowiada Donata. – Moim zdaniem prowadzenie własnej firmy jest wolnością, bo od ciebie zależy to, kiedy, gdzie i jak pracujesz. Oraz także to, ile zarobisz, bo można zwiększać sprzedaż przy pomocy różnych narzędzi. Jeżeli masz zabezpieczenie finansowe i plan na prowadzenie firmy, stres nie jest mocno odczuwalny – wyznaje Natalia.

Mimo trudności, takich jak brak stabilizacji finansowej czy konieczność ciągłego podejmowania decyzji, prowadzenie własnej firmy przynosi wiele satysfakcji. Możliwość obserwowania, jak pomysł przeradza się w dobrze funkcjonujące przedsiębiorstwo, daje poczucie spełnienia i motywuje do dalszego działania.

Małe firmy potrafią szturmować podbić serca kupujących. A co sądzą o tym sami klienci? Czy ma dla nich znaczenie, z jakiej wielkości firmy pochodzi to, co chcą nabyć? – Raczej nie zwracam na to aż tak dużej uwagi. Jeśli dany produkt mi się podoba, kupuję go. Niezależnie od tego, czy jest z małej, czy dużej firmy. Mimo tego myślę, że wspieranie małych biznesów jest super i jeśli mam okazję kupić coś z mniejszej firmy, to bardzo mnie to cieszy – mówi Wiktoria, studentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej.

Prowadzenie własnej firmy to pasjonujące wyzwanie, wymagające determinacji i zarządzania ryzykiem. Donata i Natalia podkreślają, że początkowa wolność przedsiębiorcy szybko zderza się z trudnościami, takimi jak zmienność rynku czy kryzysy gospodarcze. To nie tylko biurokracja, ale także konieczność elastycznego dostosowania się do warunków. Mimo to satysfakcja z realizacji własnych pomysłów i zadowolenia klientów wynagradza trudy. Kluczowe są planowanie, zabezpieczenie finansowe i czerpanie radości z małych sukcesów – to one pozwalają rozwijać się mimo niepewności rynku.

Agnieszka ŁUKASZEWSKA
agnluk7@st.amu.edu.pl



U progu dorosłości
s. 2

Polecamy



Amerykański koszmar
s. 5



W poszukiwaniu korzeni
s. 6



Fantastyczny
świat prywatyzacji
s. 11

Od redakcji

Kochani Czytelnicy!

Przywitaliśmy już kalendrzową wiosnę, a co za tym idzie cieplejsze, jaśniejsze dni. Pora roku związana z rozkwitem, przebudzeniem do życia fauny i flory, napędza do działania i poprawia humor. Powinniśmy być teraz szczęśliwsi i bardziej skorzy do podejmowania różnych aktywności – mam nadzieję, że właśnie to odczuwacie.

Mogę Was zapewnić, że nasi redaktorzy wykorzystali zastrzyk wiosennej energii do przygotowania dla Was tego oto numeru. A w nim jak zawsze nie zabrakło rozbudowanego segmentu kulturalnego i tym razem również sportowego. Ponadto Ania pisze o tym jak odkryć historię swojej rodziny, Agnieszka przybliża działania małych biznesów, a Kajtek zapoznaje z postacią Rogera Sławskiego. Milena pochyla się nad popularnością kapibary, a Karolina zachęca do kreatywnego działania i radzi jak przełamać twórczą niemoc.

Pozostaje mi życzyć Wam przyjemnej lektury, mam nadzieję w miłych, wiosennych okolicznościach!



Redaktorka naczelna
Iwona Tomaszewska

Redaktorka miesiąca



Wiktoria Wójkiewicz

Jestem studentką dziennikarstwa i komunikacji społecznej, a w BUCU działam w korekcie oraz socialach! W wolnym czasie gram w gry i słucham muzyki od AC/DC po Franka Sinatrę. Moje zainteresowania są bardzo różnorodne, więc za każdym razem zajmuję się czymś innym i potrafię powrócić do dawnych hobby nawet po wielu miesiącach.

U progu dorosłości

Znane każdemu milenialsowi „life is brutal and full of zasadzkas” już dawno zostało zastąpione przez charakterystyczne dla Gen Z „życie dla fabuły”. Przedstawiciele tej generacji znaleźli się na zakręcie pomiędzy szaleńczym okresem nastoletnim a nieuchronnie zbliżającą się dorosłością. W pokoleniowym drzewie powoli ustępują miejsca Gen Alpha, czyli ludziom urodzonym w latach 2012–2024, zajmując dotychczasowe miejsce milenialsów. W tym przełomowym momencie warto zastanowić się, co właściwie ukształtowało światopogląd i osobowość Zetek.

– Zawsze będziemy się inaczej postrzegać między generacjami, zarówno my w stosunku do młodszych, jak i starsi do nas. Mimo tego, że generacja Alpha jest obecnie na piedestale dziecka XXI wieku, mam wrażenie, że w oczach niektórych cały czas będziemy tymi, którzy dopiero uczą się życia – twierdzi dwudziestoletnia Emilka, przedstawicielka Gen Z. Czy oznacza to, że spełni się odwieczne marzenie, by pozostać dzieckiem na zawsze, chociażby w świadomości społeczeństwa?

– Opóźnił się wiek stawania się dorosłym i podejmowania takowych decyzji – dzieli się wrażeniami Nina. – Kiedyś próg osiemnastu lat faktycznie traktowany był jako koniec okresu nastoletniego, a teraz, mając ukończoną osiemnastkę, wcale się tak nie czuję. Za czasów młodości moich dziadków w wieku dwudziestu paru lat wychodziło się za męża, a ja nie wyobrażam sobie za kilka lat stanąć na ślubnym kobiercu. Dlatego czuję, że ta prawdziwa dorosłość jest dopiero przede mną. Co w niej będzie? Jeszcze nie wiem – dodaje.

Czy to koniec młodości Zetek?

Pokolenie Z stanowią osoby urodzone między 1995 a 2012 rokiem, zatem najstarsi jej przedstawiciele w tym momencie mają trzydzieści lat, a najmłodszy – trzynaście. O tyle, o ile przedział ten jest szeroki, sztandarowe cechy generacji przypisać można obecnym nastolatkom i młodym dorosłym. Należą do nich między innymi łatwość w posługiwaniu się internetem, krótkie skupienie uwagi, wysoka wrażliwość, niezależność oraz wysoka świadomość społeczna.

W ostatnich latach i miesiącach coraz bardziej zauważa się upadającą hegemonię Zetek w młodzieżowym świecie. Towarzyszy nam poczucie, że nie jesteśmy już najmłodszy, popularne stają się rzeczy, których fenomenowi nie rozumiemy, a nasze doświadczenia pokoleniowe przechodzą do lamusa. Jednym z niedawnych sygnałów alarmowych dla przedstawicieli pokolenia Z był ostatni plebiscyt na Młodzieżowe



Nie zapomnijmy o nostalgicznych chwilach, które ukształtowały nas jako generację

Słowo Roku organizowany przez Wydawnictwo Naukowe PWN. Same nominacje wzbudziły dyskusję wśród internautów z generacji Z, u których wiele z nich nie wywołało żadnych skojarzeń. Wkroczenie nowego pokolenia w wiek dojrzenia zawsze oznacza nowe wzorce, schematy i wyzwania.

Nostalgiczna podróż w czasie

Generację Z uznać można już za kompleksowo ukształtowaną w procesie pierwotnej socjalizacji, zachodzącej w pierwszych latach życia. Synonimem dobrego dnia w dzieciństwie Zetek był soki Frugo lub Kubuś zapakowane do szkoły, ukradkiem oglądane „19+” czy serial „Skoła” i obowiązkowo wyjście na dwór z kolegami z ulicy czy osiedla. Bawiliśmy się w zamrażarkę, graliśmy w „Just Dance”, a najzabawniejszym żartem była guma rażąca prądem. Lalki Barbie i Monster High królowały nie tylko na naszych półkach, ale i w kolekcjach filmów na DVD. Karta piłkarska prosto z albumu była inspiracją do kolejnej wizyty u fryzjera. Miejscem magicznym była stojąca niemal na każdym polskim podwórku trampolina, której zapach utkwiał na dobre w naszej pamięci. Toczyły się transakcje i handel wymienny karteczkami kolekcjonerskimi, skrzętnie przechowywanymi w specjalnych segregatorach. „Jedna brokatowa za dwie zwykle” – negocjowano. Hitem stały się latioamerykańskie produkcje Disneya – „Violetta” i „Soy Luna”. To właśnie dzięki nim Leon, Diego i Matteo stali się obiektami wymarzonej miłości dla dziewczynek. Wszystkie te doświadczenia drzemią w każdym z nas i oddziałują na to, kim się stajemy. Tak wiele elementów tamtej codzienności połączyło nas wszystkich, by teraz dać owoc w postaci nowego pokolenia dorosłych ludzi.

Dzieciństwo Zetek, w przeciwieństwie do Gen Alpha, przebiegało w trybie analogowym. Uczyliśmy się korzystać z technologii stopniowo, zaczynając od jeszcze kla-

wiszowych telefonów Nokia, a pomimo tego jesteśmy pokoleniem bardzo pochłoniętym życiem online. Urodziliśmy się w okresie dobrobytu i nie doświadczyliśmy wątpliwych uroków Polski lat 80., dlatego daleko nam do nawyków zbierania lub nadmiernego oszczędzania. Jak każde inne pokolenie uważamy, że nasze dzieciństwo charakteryzuje się najbardziej wyjątkowymi wspomnieniami, a współczesne bajki i zabawy nie mają porównania z ówczesnymi. Właśnie to przeświadczenie sprawia, że pozostajemy wierni przeszłości.

Przyszłość jest w naszych rękach

Dorosłość niesie za sobą odpowiedzialność i wiele zobowiązań, szereg prób i błędów, ale również poczucie wolności i niezależności. Co jest zapisane na kartach przyszłości generacji Z? Wizja naszego pokolenia jako rodziców i dziadków, wcale nie tak odległa, budzi pytania o model rodziny, na jaki się zdecydujemy, kwestie zawodowe i światopoglądowe.

– Jako przedstawicielka Gen Z z dwiętnastoletnim stażem myślę, że stworzymy nieco niepoważną generację dorosłych – twierdzi Nina. – Będziemy dokumentować wszystko, co nam się przydarzy, właściwie już to robimy. Natomiast w przypadku poszukiwania pracy możemy mieć nieco łatwiej niż milenialsi. Obecnie jest więcej możliwości pracy zdalnej niż wówczas, gdy oni startowali w dorosłe życie – dodaje.

Czy Gen Alpha będzie śmiało się z naszych mikrotrendów, zbliżeń na fotografiach, podejścia do edukacji domowej w taki sam sposób, w jaki my śmiejemy się z powiedzonek czy upodobania do minimalizmu milenialsów? Odpowiedź nasuwa się sama – tak jak było przez wieki, tak będzie i tym razem. Również w przypadku bezgranicznego poczucia ciepła i nostalgii do tego, co już nie wróci, ale na zawsze z nami pozostanie.

Jagoda KASPRZYK
jagkas2@st.amu.edu.pl



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelna
Izabela Tomaszewska
**Zastępca redaktora
naczelnego**
Agnieszka Łukaszewska
Sekretarz redakcji
Jędrzej Wróblewski
Numer makiętowali
Agnieszka Łukaszewska
Anna Bielecka
Jędrzej Wróblewski
Izabela Tomaszewska

Wydawca numeru
Izabela Tomaszewska
Redakcja
merytoryczna:
Jakub Marcinak
Jędrzej Wróblewski
Amelia Ogrodowczyk
Filip Szymkowiak
Redakcja:
Anna Bielecka
Zuzanna Borak

Natalia Borodkina
Mikita Buyak
Mateusz Chojnowski
Paulina Cichoszewska
Jagoda Czerwińska
Joanna Dąbrowska
Gabriela Dembowska
Jacek Dobiański
Benita Dolniak
Wiktoria Duda
Łukasz Grabia

Weronika Grochalska
Dominik Janicki
Dominika Jerzak
Wiktoria Jesionka
Weronika Józwiak
Bartosz Kabacinski
Mateusz Kalmuk
Stanisław Karalus
Jagoda Kasprzyk
Wiktoria Kubiak
Serhii Khodiev

Wiktoria Konieczna
Karolina Korkosz
Olga Kregielska
Natalia Król
Karolina Kubiak
Maria Kucharczak
Klára Kuczka
Kajetan Kuszak
Olga Lipińska
Igor Listopad
Agnieszka Łukaszewska

Yeva Maksimava
Jakub Marcinak
Olga Michalska
Amelia Ogrodowczyk
Anna Pajchrowska
Ines Przybył
Laura Ratajczak
Yelizaveta Rayetskaya
Weronika Rybacka
Jasmina Skrobańska

Milena Spiralska
Alicja Sugier
Filip Szymkowiak
Izabela Tomaszewska
Anastasiya Trafimuk
Mikita Tsiabus
Magdalena Walczak
Anna Wielgocka
Ada Wójcik
Wiktoria Wójkiewicz
Jędrzej Wróblewski

Michał Wybrański
Olivia Zajkowska
Korekta:
Paulina Cichoszewska
Wiktoria Duda
Wiktoria Jesionka
Weronika Józwiak
Weronika Karnaból
Klára Kuczka
Kajetan Kuszak
Ada Wójcik

Wiktoria Wójkiewicz
Social media:
Natalia Borodkina
Mikita Buyak
Gabriela Dembowska
Dominika Jerzak
Weronika Karnaból
Jagoda Kasprzyk
Wiktoria Konieczna
Karolina Korkosz
Natalia Król

Olga Lipińska
Yeva Maksimava
Anna Pajchrowska
Yelizaveta Rayetskaya
Anastasiya Trafimuk
Magdalena Walczak
Ada Wójcik
Wiktoria Wójkiewicz
Olivia Zajkowska
Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Skład komputerowy
Tomasz Szukała
Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz

Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania nadesłanych
tekstów.

Artystycznie zablokowani

Połamane ołówki, pełne zrezygnowania westchnienia, godziny siedzenia nad kartką i absolutna pustka w głowie. Pojęcie artblocku niewątpliwie kojarzy większość artystów. Choć w internecie nie znajdziemy słownikowej definicji blokady twórczej dotyczącej kreatywności w ogóle, można ją analogicznie odnieść do pojęcia blokady pisarskiej – stanu, w którym autor nie jest w stanie stworzyć nowych dzieł lub doświadcza twórczego spowolnienia. Warto zastanowić się, jak wspomniane spowolnienie wygląda w rzeczywistości i jak sobie z nim radzić?

Blokada twórcza może stanąć na drodze każdego człowieka, nie tylko takiego już związanego ze sztuką i tworzeniem, lecz także takiego, który pragnie twórczego życia, a nie potrafi wyzwolić w sobie kreatywności. Ludzie zablokowani odkładają marzenia na bok, uważając je za nieistotny dodatek do codziennego funkcjonowania, za coś, co nie wychodzi poza sferę gdybań. Są zbyt przestraszeni, zrezygnowani i nienauczeni, jak radzić sobie ze stanem, w którym się znaleźli. Nie wiedzą lub zapominają, że każdy może żyć w twórczy sposób, nieważne, czy dopiero zaczyna swoją artystyczną drogę, czy usiłuje na nią powrócić. Przekonanie to wyraża Julia Cameron, autorka „Drogi artysty”, poradnika dotyczącego praktykowania twórczego życia, która stwierdza, że „kreatywność przypomina trawnik – wystarczy odrobina starań i odrasta”.

Artblock od zaplecza

– Myślę, że to dość częste uczucie, które towarzyszy artystom – zwierza się Alicja, studentka grafiki warszawskiego ASP. – Powiedziałabym, że jest to jakiegoś rodzaju niemoc twórcza. Siada się do biurka z chęcią narysowania czegoś lub myśli się nad jakimś pomysłem i nic nie jest się w stanie zrobić. Dla mnie, jako studentki ASP, jest to całkiem problematyczna sprawa, ponieważ mój kierunek różni się od typowych studiów. Jest głównie praktyczny i wymaga dużo pracy kreatywnej, więc kiedy nie jestem w stanie nic wymyślić, to nie jestem też w stanie czegoś na studia wykonać. Opóźnia to proces pracy przy projektach. W takich sytuacjach bardzo często zaczynam wątpić w swoje umiejętności, czasami nie jestem w stanie za nic się zabrać, nawet za coś niezwiązanego ze studiami i tworzeniem. Jestem pewna, że każdemu zdarzają się takie chwile i jest to normalna sprawa – dodaje.

Artblock ma duży wpływ na życie osób, które zajmują się tworzeniem na co dzień – rysowników, malarzy, pisarzy, projektantów, fotografów czy muzyków. Pozbawianie artysty zapału i natchnienia przypomina okaleczanie jego duszy. Człowiek, jak dekadent, pragnie wyzwolić w sobie strumień kreatywności, a zatrzymuje się na ogarniającym poczuciu beznadziejności i zwątpienia w swoje

możliwości. Twórcza blokada spotyka nie tylko tych, którzy nazywają się artystami. W końcu zablokować może się również kucharz, usiłując wymyślić nowy przepis, nauczyciel, układając harmonogram lekcji, a także student, pisząc esej lub przygotowując się do zajęć. Nie każdy zdaje sobie sprawę, że to, co potrafi nas tak przytłoczyć, jest możliwe do „wyleczenia”.

„Droga artysty”

Julia Cameron, jak sama pisze o sobie w „Drodze artysty” jest „piszącą reżyserką, która uczy na warsztatach twórczości”. Od ponad trzydziestu lat pomaga ludziom wszelkich profesji wyzwolić w sobie kreatywność. Twierdzi, że do nauczania została powołana. Zebrała więc wszystkie znajome sobie narzędzia i podzieliła się nimi z innymi. Wyznaje, że odblokowując innych, odblokowała samą siebie. Od momentu, kiedy zaczęła uczyć wyzwalać kreatywności, jej twórczość znacznie się rozwinęła – pisała powieści, opowiadania i sztuki teatralne zdobywające nagrody oraz trafiające na listy bestsellerów. Jej najbardziej znany poradnik został wydany w 1992 roku – od ponad trzydziestu lat nie stracił na aktualności. Adresowany jest do „każdego, kto ma chęć uprawiać sztukę twórczego życia”, a skorzystało z niego ponad milion „krwawiących” artystów i nie tylko.

Wśród osób, grup i instytucji sięgających po książkę Cameron obok pracowni plastycznych wymieniane są szpitale, więzienia, uniwersytety, grupy wsparcia, prawnicy czy nawet gospodynie domowe. Czy sprawdzi się u każdego? Podobnie jak z każdą tego rodzaju publikacją „Droga artysty” będzie pomocna tym, którzy wezmą ją na poważnie i odnajdą w niej coś dla siebie, coś, co zapamiętają i wprowadzą w życie. Na pewno jest z czego wybierać. Poradnik składa się z dwunastu rozdziałów na dwa tygodnie „praco-zabawy”. W każdym rozdziale umieszczone są eseje tematyczne, ćwiczenia oraz zadania, mające na celu pomóc czytelnikom powrócić do twórczej vitalności. Książka uczy pielęgnowania „wewnętrznego artysty”, metafory kreatywności, wrażliwości, siły twórczej, drzemającej w każdym z nas. To właśnie wewnętrzny artysta atakowany jest przez blokadę i to jemu trzeba pomóc.

Sztuka a duchowość

Cameron mówi o sztuce jako o przedsięwzięciu duchowym. Według niej na drodze do artystycznego odrodzenia ważna jest wiara. Podkreśla jednak, że nie trzeba podchodzić do tej kwestii szablonowo, nie kryje się za tym żadna ideologia, nie jest to poradnik chrześcijański. Przedstawia wiarę w „(S)twórcę” jako ćwiczenie na otwartość umysłu. Zachęca, aby interpretować „(S)twórcę” jako sztukę, przepływ, wszechświat lub cokolwiek, z czym czytelnik czuje się swobodnie. Pisze: „pozwól sobie poeksperymentować z ideą, że może naprawdę jest jakiś Wielki Twórca i że może ci się on przydać przy wyzwaniu twojej kreatywności”. Dla nie-

których część poradnika skupiona na duchowości będzie zachęcająca, inni spojrzą na nią z grymasem i zawahaniem. Bez względu jednak na wiarę lub jej brak warto poznać prezentowane przez autorkę narzędzia, pomagające w artystycznym odblokowaniu. W tym celu autorka wskazuje „poranne strony” oraz „randki artystyczne”.

Kiedyś prowadziliśmy zamykane na kłódkę w kształcie serca pamiętniki, w ciągu ostatnich lat poznaliśmy popularną praktykę „journalingu”, teraz przyszła pora na „poranne strony”. Czy to wszystko jest tym samym? W zasadzie tak, a różnica polega na intencjach, które nam towarzyszą. Praktykowanie „porannych stron” polega na codziennym pisaniu co najmniej trzech stron tekstu z samego rana. Zapisuje się wszystko, co przychodzi do głowy – każdą myśl lub cokolwiek chce się zapisać. Powinno to przypominać swoisty strumień świadomości. Taka praktyka ma na celu przede wszystkim wyciszenie, oczyszczenie głowy oraz otwarcie się na kreatywność.

„Randki artystyczne” to czas, który mamy spędzić sami ze sobą. Wystarczy poświęcić godzinę tygodniowo, aby zabrać samego siebie na spacer, do muzeum, księgarni lub gdziekolwiek, gdzie możemy zaspokoić twórcze potrzeby. Ten czas jest szczególnie ważny, gdy w codziennym pośpiechu zapominamy, żeby od czasu do czasu się zatrzymać. Czując blokadę, warto spróbować któreś z tych praktyk, zadbać o wewnętrznego artystę i przekonać się na samym sobie, czy nasz „trawnik” odrasta.

Odswieżyć umysł

Bardzo często rady od rówieśników okazują się równie pomocne, jak te od specjalistów i ekspertów. Być może to właśnie takiej rady, prosto z serca i opartej na świeżym doświadczeniu, potrzebuje zablokowany artysta.

– Kiedy mam zastój artystyczny staram się na siebie nie naciskać – opowiada Alicja. – Próbuję wtedy zaczerpnąć jakichś inspiracji, obejrzeć książki artystyczne czy nawet przescrollować Pinteresta lub pójść do muzeum (oczywiście w poszukiwaniu inspiracji – chodzi mi o odświeżenie głowy). Czasami wolę w takich chwilach kompletnie odciąć się od działalności artystycznej, nawet tylko na moment. Lubię wtedy poćwiczyć, wyjść na spacer czy obejrzeć jakiś film. Tak jak mówiłam wcześniej, uważam, że bez sensu jest na siebie naciskać. Warto robić przerwy, czasami są one dłuższe, czasami krótsze i to jest jak najbardziej okej – mówi.

Twórczość jest procesem, a każdy proces ma swoje wznoszenia i upadki. Te ostatnie nie muszą być wcale uważane za coś złego. Kryzysy pchają nas do przodu oraz są jedynie przystankiem przed kolejnym krokiem na twórczej drodze. Są nieuniknione i chociaż wydają się przerażające, prędzej czy później sobie z nimi radzimy i wychodzimy z nich silniejsi. Blokada artystyczna jest więc stanem spowolnienia, z którym można sobie poradzić, sięgając po odpowiednią pomoc i który może zwiastować przyszłą twórczą obfitość.

Karolina KUBIAK
karkub20@st.amu.edu.pl

Gdzie na wakacje?

Ostatnie śniegi topnieją, a za oknem zauważamy nieśmiało jeszcze słońce, które zwiastuje sezon na opaleniznę i relaks. Wielu z nas już zimą zaczyna myśleć o nadciągających wakacjach i planuje wszystko z wyprzedzeniem. Dla niektórych to adrenalina związana z wyborem wycieczki staje się już jedną z atrakcji. Co wpływa na wybór wakacyjnych kierunków przez Polaków?

– Ludzi łatwo można podzielić na tych, którzy wakacje planują z wyprzedzeniem oraz tych, którym nadmiar planowania nie jest potrzebny – mówi Beata Kuźnicka z biura podróży Itaki. – Pierwsza grupa to rodziny z dziećmi, które wyjechać muszą w czasie wakacji letnich, natomiast drugą stanowią raczej osoby młode, pary oraz grupy przyjaciół. Pragną oni wyjechać, a nie są zmuszani do dopasowania się w określone ramy, dzięki czemu częściej robią to poza sezonem – dodaje.

Święta trójca odpoczynku

– Turcja, Bułgaria, Grecja – to te kierunki od lat królują, jeśli chodzi o popularność wyjazdów – twierdzą specjalistki z biura Itaki. I nie powinno to nikogo dziwić, gdyż to właśnie tam jakoś zgadza się z ceną, zarówno jeśli chodzi o loty, jak i zakwaterowanie w hotelu. Z poznańskiej Ławicy możemy polecić do bułgarskiego Burgas już za 420 złotych w jedną stronę. Podobnie prezentują się Grecja oraz Turcja.



Grecja od lat jest jednym z najczęściej wybieranych kierunków wakacyjnych

Wszystkie te państwa łączy ze sobą możliwość różnorodnego zwiedzania. Ich rozbudowana infrastruktura turystyczna, hotele, restauracje czy zagospodarowanie plaż zadowolą leniuchów. Z kolei bogata historia, zabytki architektoniczne, muzea czy piękno przyrody zachwycą aktywnych turystów i pozwolą na zdobycie drogocennych wspomnień.

Wschodzące gwiazdy

Niektóre kraje charakteryzują się większą dynamiką, jeśli chodzi o popularność turystyczną. Odmienna kultura, odległość czy czynniki wewnętrzne mogą przyciągać lub odstraszać potencjalnych odwiedzających. – W poprzedniej dekadzie to Tunezja naj-

mocniej przyciągała odwiedzających, jednak w obliczu trudnej sytuacji politycznej utraciła popularność. Obecnie ponownie zauważamy zwiększenie zainteresowania i tendencję wzrostową – mówią przedstawicielki Itaki. Dalekie kierunki nie zniechęcają Polaków do wakacyjnych podbojów. Znaczna część biur podróży stale uzupełnia swoją ofertę o kraje takie jak Tajlandia, Kenia czy Wyspy Kanaryjskie. – Wiele osób odwiedzających Wyspy Kanaryjskie ponawia podróż, aby zwiedzić lub przynajmniej zobaczyć każdą z wysp archipelagu – zauważa Beata Kuźnicka.

Wakacje również w Polsce

Według serwisu Pollster.pl aż 72% Polaków spędza wakacje, nie wyjeżdżając za granicę. Połowa tej grupy udaje się nad Bałtyk, dużo mniejsza część na Mazury oraz w Tatry. Należy zauważyć, że w skali europejskiej nasze państwo może poszczycić się dużą bioróżnorodnością terenów, roślin i zwierząt. Tego samego dnia możemy udać się na Pustynię Błędowską, zauważyć dziko żyjącego żółwia błotnego czy zgubić się na bieszczadzskim szlaku. Pochwalić możemy się posiadaniem dwudziestu trzech unikatowych parków narodowych, obejmujących rzeki, góry czy plaże. Wybrzeże Morza Bałtyckiego oferuje bogatą infrastrukturę turystyczną, która ściąga nie tylko naszych rodaków, ale także Niemców czy Czechów.

Przez wielu Polaków wakacje w kraju utożsamiane są z wygodą, komfortem uniknięcia komunikacyjnych kłopotów oraz są postrzegane jako przejaw patriotyzmu i wsparcia lokalnych biznesów. Rozczarowujące okazują się jednak ceny, w których to gonimy wakacyjne raje – sprawia to, że ludzie dysponujący takim samym budżetem mają wybór – tydzień na Krecie czy w Ustce?

Stanisław KARALUS
stakar4@st.amu.edu.pl

Naczelnny architekt Poznania

Kiedy znikają mury, a miasto stawia na nowoczesne, wielkomiejskie rozwiązania, okazję dla siebie dostrzega Roger Sławski. Wraca do stolicy Wielkopolski i w prasie ogłasza, że „osiedlił się w Poznaniu i podejmuje się wszelkich prac wchodzących w zakres architektury”. By zareklamować się jeszcze wyraźniej, własne projekty przerabia na pocztówki. Kampania marketingowa działa, a wkrótce pojawiają się zlecenia. Sławski na stałe zapisuje się w architektonicznej historii miasta.

Roger (czytany przez „g”, nie przez „dz”) przychodzi na świat w marcu 1871 w Poznaniu, tu się uczy i dorasta. Po uzdolnionej plastycznie babce odziedziczył talent i wbrew rodzinnej, prawniczej tradycji wybiera architekturę. Swój pierwszy poznański projekt tworzy, gdy ma dwadzieścia siedem lat i w tym czasie nie znajduje się nawet w Poznaniu. Od kilku lat przebywa w głębi cesarstwa niemieckiego, w Karlsruhe, w którym zagościł po ukończeniu studiów. Stamtąd opracowuje zleconą mu koncepcję, czyli nowe, reprezentacyjne skrzydło słynnego już wtedy hotelu Bazar. Projekt jest skokiem na głęboką wodę i testem umiejętności młodego architekta.

W założeniu hotel ma być nowoczesnym, europejskim obiektem, stworzonym z myślą o jego nobliwych gościach i ich niekwestionowanym komforcie. Roger kreśli więc projekt, który temu założeniu ma sprostać – monumentalny neobarokowy budynek o wysokim standardzie. Realizacja, ukończona dwa lata później szybko staje się wizytówką Poznania oraz, na złość pruskim władzom, największym świeckim budynkiem w mieście. Sławski nie może oczywiście podejrzewać, że niedługo hotelowi przypadnie w udziale także zupełnie inna rola i znajdzie się w samym centrum niepodległościowego zrywu, stanie się jego symbolem, choć projektuje go tak, jak gdyby o tym wszystkim doskonale wiedział.

Ozdabianie Poznania

Do Poznania architekt wraca w 1904 roku. Dzięki pocztówkom oraz ogłoszeniu własnego powrotu w „Dzienniku Poznańskim” zaczyna najbogatszy okres w karierze. Wówczas tworzy Budynek Towarzystwa Budowlanego Union oraz gmach Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk – jedno z najwybitniejszych dzieł tamtego okresu, nieodłączne elementy landszaftu miasta.

Pierwszą, czyli niezwykle neobarokową, zdobioną sztukaterią kamienicę, projektuje z szacunkiem do otoczenia, tak aby ta współgrała z okolicą: ówczesnym Teatrem Niemieckim (dzisiejszą Arkadią) oraz pobliskimi kamienicami. We wnętrzu budynku zaś pojawia się nowatorska na tamte czasy winda, która wciąż, od ponad stu lat, niezmiennie kursuje. Druga budowla – gmach PTPN – nadaje nowego rozmiaru obecnej ulicy Mielżyńskiego. Budynek, również neobarokowy, wraz z zielonym dziedzińcem oraz falującymi nad nim balkonami kojarzy każdy, kto kiedykolwiek zatrzymał się na kawę „U Przyjaciół”.

W tamtym czasie powstają również budynki szpitala dziecięcego przy obecnej ulicy Krysiewicza, dwór w Piotrowie czy narożna kamienica Starego Rynku – ta, w której podcieniu dziś można zjeść frytki. Sławski twórczo spełnia się nie tylko w Wielkopolsce.

Największa wystawa w kraju

Odzyskanie niepodległości oznacza dla Rogera Sławskiego nowe obowiązki i funkcje. Propozycję tej najważniejszej składa mu na ręce ówczesny prezydent Poznania Cyryl Ratajski, oferując bezpośredni nadzór nad częścią projektową przewidzianej na 1929 rok Powszechnej Wystawy Krajowej. „Pewuka” ma być przedsięwzięciem imponującym, zaplanowanym z rozmachem i tak też wykonanym, świętującym hucznie i godnie dziesięciolecie wolnej Polski. Sławski zaś ma objąć stanowisko jej naczelnego architekta. Na ofertę – rzecz jasna – przystaje.

Sama „Pewuka” oceniana jest różnie – opinie oscylują między najbardziej kluczowym dla rozwoju miasta wydarzeniem a przedsięwzięciem przeskalowanym i niewspółmiernie kosztownym. Jednak Sławski wywiązuje się z powierzonego zadania z powodzeniem. Pod jego auspicjami szkolą się młodzi architekci (choćby Władysław Czarniecki, twórca nieocenionych klinów zieleni), którzy tworzą nowe projekty miejskie (m.in. największe podwórko w Europie). Sam sporządza wpisane już na stałe w sztafaż poznańskiej codzienności koncepcje Collegium Heliodori, DS Hanka czy fontanny w parku Wilsona. Tworzy wreszcie westybul (zwany też Halą Reprezentacyjną), kolejny z symboli Poznania.

Ponad pół wieku pracy

Roger Sławski przechodzi na emeryturę po raz pierwszy w latach 30. Jako sześćdziesięcio-kilkulatek wypoczywa, spacerując po Poznaniu i podróżując po Europie. Spokojne życie przerywa jednak wybuch wojny – wraz z żoną spędza ją w ukryciu w obskurnej części Jezyc, wyekwipowany w wypełnioną rodzinnym archiwum walizkę.



Na gmachu westybuli umieszczono upamiętniającą architekta tablicę

Po wojnie, mimo dojrzałego wieku, angażuje się w rekonstrukcję miasta, tworzy koncepcje odbudowy Wagi i Odwachu (zrealizowane już bez jego udziału) oraz ratusza miejskiego, po którego rusztowaniach ma skakać niczym młody szprync.

Po raz drugi emerytem staje się, mając ponad 80 lat. Jako pożegnanie z fachem architekta oraz aby uwieńczyć sześćdziesięciolecie pracy, oddaje do użytku modernistyczny kościół na Starołęce, którego pierwsze szkice kreślił jeszcze przed pięćdziesięcioma laty. Umiera w rodzinnym mieście, mając 92 lata. Zostaje pochowany w grobie rodzinnym na poznańskim Junikowie. Stamtąd kilka dekad później przeniesiono go na Cmentarz Zasłużonych Wielkopolan.

Nie wszystkie realizacje Sławskiego zachowały się do dziś. Część z nich zabrała wojenna pożoga, pozostałe nie przetrwały decyzji związanych z odbudową miasta. Taki los spotkał m.in. wysoką, mansardową kamienicę starego rynku, umieszczoną w samym jego środku. Jej miejsce zajęła modernistyczna bryła dzisiejszej Galerii Miejskiej Arsenał.

Kajetan KUSZAK
kajkus@st.amu.edu.pl

Wszystko jest połączone

Opał i Gibbs – znane ksywy na polskiej scenie hip-hopowej – ponownie łączą siły, prezentując „Połączenia 2”. Jest to druga część ciepło przyjętego albumu, który zyskał status platynowej płyty. Stanowił on kamień milowy w karierach muzyków. Czy ponowne połączenie artystów przyniosło równie dobre efekty?

Mateusz „Gibbs” Przybylski to członek zespołu Fonos oraz założyciel wytwórni Dopehouse. Karierę rozpoczął jako producent muzyczny, aktualnie tworzy również teksty i rapuje. Na swoim koncie posiada już dwa solowe albumy oraz dziesięć kooperacyjnych. Współpracował z wieloma twórcami na polskiej scenie. Jednym z nich jest Łukasz „Opał” Opilka, twórca marki Voodoo, pod szyldem której ukazały się jego cztery płyty.

Od wydania pierwszego wspólnego projektu obaj twórcy skupiali się na solowej działalności, przecinając się jedynie w pojedynczych numerach. Największym z nich był „Drive”, którego teledysk ma aktualnie ponad 50 milionów wyświetleń. Po jego sukcesie artyści postanowili wyruszyć we wspólną trasę koncertową, przed którą poinformowali, że pracują nad kolejną częścią „Połączeń”. Zapowiedzieli, że ukaże się ona na początku 2025 roku. Wielokrotnie zaznaczali też, że od ich pierwszej współpracy bardzo dużo się zmieniło. Obaj znajdują się w zupełnie innym punkcie życia. Odbija się to w tematyce i brzmieniu albumu, które niczym nie przypomina pierwszej części.

Odcieci od świata

Większość prac nad albumem miała miejsce na wyjeździe. Rapery wraz z producentami, realizatorami i ekipą filmową udali się na wyspę Koh Samui w Tajlandii, gdzie spędzili dwa tygodnie. Głównym celem wyjazdu było odcieci się od otaczającej ich na co dzień rzeczywistości. Takie działanie pozwoliło w stu procentach poświęcić się pracy nad projektem, bez konieczności załat-

wiania spraw biznesowych. Ośrodek wypoczynkowy, w którym znajdowała się ekipa, nie był wyposażony w studio nagraniowe, dlatego muzycy byli zmuszeni skonstruować je sami.

Gibbs nagrywał swoje zwrotki w kabinie zbudowanej z materacy, a Opał ustawił swój mikrofon w szafie w jednym z pokoi na piętrze. Takie kreatywne podejście pokazuje, że wcale nie trzeba nagrywać muzyki w profesjonalnych studiach, żeby uzyskać brzmienie na poziomie topowych polskich albumów. Podczas wyjazdu nagrane zostały ujęcia do dwóch teledysków, w których zagrali mieszkańcy wyspy Koh Samui.

Idealne połączenie

Na krążek składa się czternaście utworów, których teksty dotykają wielu tematów. Motywami pojawiającymi się na przestrzeni całego albumu są: brak wiary w siebie, próba odnalezienia równowagi życiowej, pozostawanie w zgodzie ze sobą w branży rządzonej przez pieniądze, czy ból po stracie. Gibbs dostarcza wielu śpiewanych refrenów, które dopełniane są przez rapowe zwrotki w wykonaniu Opała. Wykonawcy często jednak wymieniają się swoimi rolami.

Płyta przepełniona jest dobrymi technicznie tekstami, skłaniającymi słuchacza do refleksji. Znajduje się też na niej dużo wersów nawiązujących do tytułowych „Połączeń”, którym towarzyszy wiele gier słownych. Brzmienie albumu jest bardzo zróżnicowane, od zwykłych hip-hopowych perkusji, przez afrotrap, kończąc na zapożyczeniach z muzyki elektronicznej. Za całą oprawę muzyczną odpowiada utalentowane trio producentów: Gibbs, Jonatan oraz 4Money.

Czy jest lepiej?

„Połączenia 2” to świetny projekt, który powinien sprawdzić każdy entuzjasta polskiego rapu, ale i nie tylko. Nietrudno dostrzec wyższy poziom umiejętności przy jednoczesnym zauważeniu zmian w charakterach obu artystów i ich spojrzeniu na rzeczywis-



Okladka albumu pełnego wielowymiarowych „Połączeń”

tość. Krążek ten różni się od jedynki niemal pod każdym względem. Brak jest na nim melancholijnych brzmień czy nawet gościnnych wystąpień innych artystów. Nie powinno się go zatem traktować jako kontynuacji, bliżej mu bowiem do nowego rozdziału.

Podczas pracy nad albumem powstało dziesięć numerów, które swoim brzmieniem były bardzo zbliżone do części pierwszej. Wykonawcy postanowili, że dla fanów starego materiału wydadzą te utwory jako osobny longplay zatytułowany „Połączenia 1,5”. Był on dodawany do limitowanej wersji głównego albumu, ale w późniejszym czasie zostanie także udostępniony na platformach streamingowych.

Łukasz GRABIA
lukgra5@st.amu.edu.pl

Amerykański koszmar

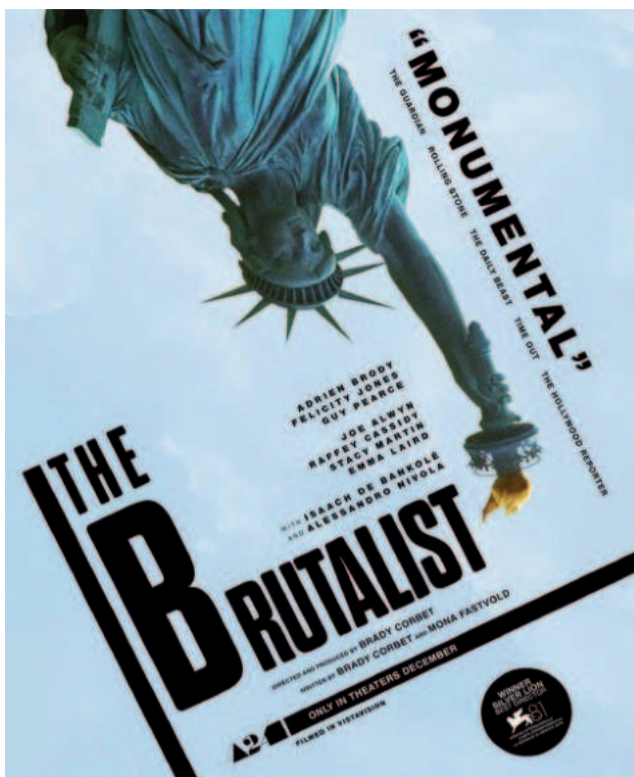
Najlepszy film, najlepszy reżyser, najlepszy aktor, najlepszy aktor drugoplanowy, najlepsza aktorka drugoplanowa, najlepszy scenariusz oryginalny, najlepszy montaż, najlepsze zdjęcia, najlepsza muzyka, najlepsza scenografia – to kategorie, w których do Oscara nominowany był „Brutalista”. Zdobyl statuetkę w trzech spośród nich, do tego otrzymał trzy Złote Globy. Łącznie sto dwanaście nominacji i trzydzieści sześć nagród. Recenzje uznanych krytyków głoszą: „monumentalny”, „atrapa arcydzieła”, „ambitny”, „nieznośnie długi”.

Jaki więc jest „Brutalista”? Z pewnością długi. Trwa aż dwieście piętnaście minut. Podzielony został na dwa akty z integralną dla produkcji piętnastominutową przerwą. Zdecydowanie trudny, wielowarstwowy, nieprzyjemny w odbiorze, skłaniający do myślenia. To film, z którego wychodzi się zmęczonym i z ambivalentnymi odczuciami.

Nowe życie po wojnie

W powojennych realiach uznany węgierski architekt László Toth (Adrien Brody) zyskuje szansę na wyjazd do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ucieka przed okrucieństwem, którego doświadczył – traumą pobytu w obozie koncentracyjnym. Szuka możliwości, by zacząć nowe życie. Film otwiera sceną przybycia głównego bohatera do Nowego Jorku. László przedziera się z walizką przez szaloną płataninę brudnych ludzkich ciał. W końcu wydostaje się na świeże powietrze. Słyszymy jego śmiech, będący oznaką szczęścia, i czujemy ulgę mężczyzny. Kamera wznosi się w górę, a my widzimy odwróconą Statuę Wolności. Być może to właśnie pierwszy symbol nadchodzących wydarzeń – odwróconego amerykańskiego snu.

Jako pierwszy głównego bohatera przyjmuje pod swoje skrzydła jego kuzyn, również Żyd, który wyemigrował z Węgier kilka lat wcześniej. Krewny zapewnia mu pracę i dach nad głową. Mężczyzna otrzymuje swoje pierwsze zlecenie – projekt biblioteki dla bogatego przemysłowca. Właśnie wtedy jako widzowie rozpoznajemy artystyczny geniusz László, jego wizję i



Estetyka brutalizmu przeniesiona na ekran – surowość „Brutalisty”

nietuzinkowość. Nie jest to jednak początek szczęśliwego zakończenia. Obserwujemy jeszcze wiele wzlotów i upadków, burzliwą walkę z uzależnieniem od heroiny i bezdomnością.

Odbicie od dna

Dwie najważniejsze osie filmu to relacje głównego bohatera. Pierwsza ze wspomnianym przemysłowcem – mentorem i sponsorem Harrisonem Lee Van Burenem (Guy Pearce). Druga z żoną bohatera Erzsébet Toth (Felicity Jones), która wkrótce dołącza do niego w Pensylwanii. Kiedy bogaty, czarujący przedsiębiorca odkrywa talent architekta, mężczyzna wkracza na salony amerykańskiej śmietanki. Wyraźnie zaznaczony zostaje jego natychmiastowy awans społeczny László i wystawny sposób życia amerykańskich elit. Narkoman przerzucający węgiel kilka scen wcześniej staje się znów widziany i doceniany.

W rzeczywistości jednak architekt to tylko produkt kupiony przez Van Burena. Ich relacja szybko przeradza się w przepychankę o władzę i grę, w której artysta i sponsor wykorzystują

się nawzajem. Toth jest poniżany i wyzyskiwany, ale godzi się na to w imię dokończenia swojego wielkiego dzieła – centrum dla miejscowej społeczności poświęconego w zamysle matce Van Burena. Projekt ciągnie się latami, a László pozostaje bezkompromisowy, jeśli chodzi o ostateczny efekt. Wpada w szal, kiedy ktokolwiek próbuje ingerować w jego wizję.

Na tym etapie filmu widz przypisuje zachowanie bohatera jego trudnemu charakterowi czy wręcz szaleństwu. Prawdziwy powód zostaje ukazany dopiero w ostatniej scenie, gdy wiele lat później na Biennale Architektury w Wenecji siostrzenica artysty wygłasza mowę w imieniu mężczyzny. Dowiadujemy się z niej, że w istocie budynek nigdy nie był poświęcony matce sponsora, ale architektowi i jego żonie oraz ich pobytom w obozach koncentracyjnych. Projekt odzwierciedlał układy Buchenwald oraz Dachau, a pokoje miały dokładne wymiary celi w Buchenwaldzie, w której był więziony Toth. Dzieło László jest pomnikiem jego życia okupionego cierpieniem i szaleństwem.

Krytyka

„Brutalista” to film niesamowity pod względem warsztatu. Został nakręcony z niezaprzeczalnym wyczuciem estetyki, a niektóre sceny zapierają dech w piersiach. Zasłużenie zdobył Oscary za zdjęcia oraz muzykę. Nawet laik może łatwo dostrzec i docenić kunszt kadrów czy wykorzystanie muzyki Daniela Blumberga. Jest to produkcja z pewnością wielowarstwowa i poruszająca ważne tematy, jednak niekoniecznie można ją klasyfikować jako arcydzieło.

Film jest przeintelektualizowany, momentami wręcz pretensjonalny. Całość przekazu sugeruje, że László spotyka się z gorszym traktowaniem przez żydowskie pochodzenie. Zupełnie zostało pominięte to, jakim jest człowiekiem – zdradza żonę, bierze narkotyki, pije, cechuje go duma i ma trudny charakter. Wydaje się, że zdjęto z niego odpowiedzialność i przerzucono na gojów, kapitalizm, system czy USA. Innym uderzającym elementem są sceny intymne, zwłaszcza dziwaczna i niezrozumiała sytuacja po ponownym spotkaniu László i Erzsébet oraz zupełnie niepotrzebny i brutalny moment gwałtu Van Burena na architekcie. Zaprzepaścił on subtelne przesłanie walki i ponizienia Totha przez mentora, które odbiorca dostrzegł i rozumiał, sprowadzając je do zwierzęcego aktu. Mimo to film z pewnością zasługuje na uwagę, choćby ze względu na fenomenalną grę aktorską Adriana Brody’ego i Guy’a Pearce’a, estetykę, niespotykany format czy podjęcie tematu fałszywości amerykańskiego snu.

Weronika RYBACKA
werryb3@st.amu.edu.pl

Liczne refleksje i wątpliwości przed dotarciem na Fredry 9. Wyobrażenia o operze zaszczerpane przez tych, którzy nie znają jej osobiście. Niełatwo jest zniwelować działanie zaklęcia rzuconego dawno temu. Verdi zdjął urok.

Najtrudniej jest się przełamać. Wejść w niezbadaną przestrzeń. Każdy krok może być śmiertelny. Wydaje się, że błędnie po omacku to ruletka. Szanse pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Trafiasz albo przegrywasz. Tym razem los okazał się łaskawy. Nie dla wszystkich, choć o tym później.

Egipt dolny i balkon górny

Cztery kondygnacje. Od parteru po sufit przystrojony monumentalnym żyrandolem. Na każdej z nich ścisk. Zdjęcia, relacje w social mediach, lektura broszur. W końcu najważniejszy aspekt – rozmowy. Buczące, przeciągające się, akompaniujące strojące się orkiestry. We znaki daje się podniosła atmosfera wieczoru. Niedzielne popołudnie udekorowane rodzinnymi obiadami i lenistwem przebrzmiało. Przerodziło się w wieczór. Przywdziało frak i wywędrowało z domu. Każdy jest niecierpliw. Każdy czeka na podniesienie się kurtyny.

„Informujemy o ograniczonej widoczności na balkonie III” – taka wiadomość widnieje w opisie spektaklu na stronie Teatru Wielkiego w Poznaniu. Miło, że widz zostaje uprzedzony. Jak na przykład jedyne dostępne bilety są w rogu tego balkonu. Wbrew ostrzeżeniom widoczność dobra. Tylko czasem trzeba się wychylić, żeby dojrzeć jakiś detal. Albo żeby nie znaleźć się na cudzym Instagramie bez zgody na wykorzystanie wizerunku. Szkopuł. W końcu najważniejszy jest Egipt. Ten, który ma wyrosnąć w dół. Ten, którego potęga przebija się przez strop. Jakie będzie jego oblicze?

Blask Per-aa

Ściany ze złota mieniące się w świetle. Maszerujące kohorty wojowników. Zastępy kapłanów w skupieniu odbierające polecenia

Idąc na „Aidę”

z ust prastarych bóstw. Dostojny dwór władcy. Tego, który sprawuje pieczę nad ludem zamieszkującym dolinę i deltę Nilu. Ujrzenie jego sylwetki to olbrzymie wyróżnienie. Zasługuje na nie każdy, kto dba o chwałę kraju. Albo ten, kto uiścił opłatę za bilet. Widać administracja zbiera fundusze na budowę piramidy.

W tym świecie wyrósł Radames – nieustraszony wódz. Nadchodzi jego czas. Ziemię ojczyzny najechał król Etiopii. Musi stawić mu czoła, aby ocalić granice państwa. Myśl o śmierci, która czyha w trakcie wypełniania misji, nie jest mu straszna. Wiąże się z uniesmiertelnieniem jego imienia. W przypadku powrotu do stolicy – z poślubieniem córki Faraona. Opatrzność dźwierz los śmiertelników w swoich rękach. Momentami bywa kapryśna. Niekiedy niewyrozumiała i nikczemna.

Amneris – przygotowywana do zamążpójścia od dziecka – zna swoją wartość. Jest kluczowym elementem polityki swojego ojca. Godzi się na rolę, którą przychodzi jej odegrać. W dodatku interesuje się generałem. Widzi go przy swoim boku. Nie ona jedna. O jego względy stara się także Aida. Etiopska branka, córka króla atakującego Egipt. Kocha wojownika. Ten, niezgodnie z wolą panującej dynastii, odwzajemnia jej uczucia...

Dylemat dwóch soczewek

Spektakl rozpościera się na szerokość dwóch biegunów. Każdy z nich to moralność charakterystyczna dla swoich czasów. Mieszkańcy starożytnego Kemetu nie potrafiliby zrozumieć sercowych rozterek ze sceny. W końcu obyczaj nie zabraniał dostojnikom posiadania więcej niż jednej żony. Zdroworozsądkowo – najpierw należało zrealizować wizję rządzącego, następnie podążyć za głosem serca. Giuseppe Verdi rozpiął akcję dramatu w XIX wieku. Echo przeszłości stało się płótnem, na którym uwiecznił świat, jaki był mu znany.

W zdominowanej przez dekalog Europy niepojęty jest układ mąż-żony. Monogamia w chrześcijaństwie to monolit przecho-

wujący tradycyjne wartości. Ma zapewnić ciągłość trwania porządku społecznego i przyczynić do pojawienia się potomstwa predestynowanego do zbawienia. Z tego punktu widzenia Radames, który sprzeniewierza się władcy Egiptu, odgrywa rolę męczennika. Dokonuje zdrady. Choć jest to czyn, któremu w myśl dogmatyki Kościoła przyszyć należy łatkę grzechu, nie pozwala sobie na życie z dwoma kobietami. Wierność względem ukochanej pozostaje ważniejsza od reperkusji. To bohater tragiczny z wyboru. Mógł uniknąć konsekwencji i po czasie związać się z tą, która jest mu szczególnie miła. Zbuntował się, a decyzję przypłacił życiem.

Wrażenie

Pozostaje głowa pełna kompulsywnych myśli. Jaka postawa jest słuszna? Czy można zaadaptować treść utworu do swojego życia i dokonać wyboru? Wiele scenariuszy. To znak, że Marek Weiss-Grześniński stał się Atlasem dźwigającym wielkość Verdiego. Ukłony w stronę reżysera za olbrzymi wysiłek i tak fantastyczną realizację dzieła.

Język włoski na scenie może odstraszać. Szczególnie tych, którzy nie władają nim bądź dopiero się go uczą. Jednak widownia nie powinna być szczególnie zmartwiona tym faktem. Widz operujący polskim i angielskim otrzymuje tłumaczenie wyświetlane na telebimie nad sceną. Choć wydawać się może, że to rozwiązanie brutalnie gwałcać czar słowa śpiewanego, staje się ono didaskalia dla niewprawionego ucha. W trakcie obu przerw na korytarzu dało się słyszeć panegiriki na cześć obecności technologii w teatrze.

Łódź przełamana. Opera uwzniośla ducha i pozwala mu na doświadczenie wszystkiego, co scena potrafi zaoferować. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Chyba że strach wzbudzą postacie noszące białe-czerwone makijaże, przypominające Kratosę z serii gier „God of War”. Niesłusznie. W końcu posiadają zdolności wokalne, jakich niejedyn artysta mógłby pozazdrościć.

Jędrzej WRÓBLEWSKI
jedwro1@st.amu.edu.pl

Największy gryzoń świata

Kapibara to zwierzę, które w ostatnich latach stało się internetowym hitem. Jej uroczy wygląd, spokój i umiejętność dogadywania się z innymi zwierzętami spowodowały, że zdobyła serca ludzi na całym świecie. Popularność kapibary w mediach społecznościowych przyczyniła się do powstawania licznych memów i filmików, które zyskały miliony wyświetleń. Mimo że na co dzień zamieszkuje Amerykę Południową, dziś jej wizerunek rozpoznawalny jest niemalże wszędzie.

Pierwsze wzmianki o kapibarze pochodzą z 1766 roku. To wtedy Karol Linneusz uznał kapibarę za świnię. Było to jednak błędne rozpoznanie, ponieważ jak się później okazało, jest ona gryzoniem i to największym na świecie. Rekordowa kapibara ważyła prawie 90 kg. Choć na pierwszy rzut oka przypomina trochę świnię, jest kuzynką znacznie mniejszej świnki morskiej. Podobnie jak u bobrów, jej zęby rosną przez całe życie, co pomaga w ścieraniu twardych roślin.

Największy gryzoń

Mogłoby się wydawać, że skoro kapibara jest gryzoniem, będzie dość mała, ale w tym przypadku nie jest to prawda. Jako największy gryzoń dorosła kapibara osiąga długość 130 cm i wysokość nawet do 64 cm. Co ciekawe, kapibary rosną przez całe życie. Są roślinożercami, jednak bardzo wybrednymi — decydują się na konsumpcję tylko sześciu rodzajów roślin. Są również koprofagami, co oznacza, że zjadają swoje własne odchody w celu ponownego wykorzystania składników odżywczych.

Kapibara naturalnie zamieszkuje obszary Ameryki Południowej. Nie jest zwierzęciem przystosowanym do życia w domu, jednak jej hodowla nie jest zabroniona, a w social mediach często pojawiają się filmiki z kapibarami mieszkającymi w domu ze swoimi właścicielami. Prowadzi ziemnowodny tryb życia, najczęściej wychodzi o zmierzchu i jest dość nieśmiała, jednak o łagodnym usposobieniu. Kapibary bardzo dobrze pływają i nurkują, choć na lądzie biegają dość niezgrabnie. W swoich naturalnych warunkach żyją w stadach od 10 do 30 osobników. Ze względu na ich popularność można je spotkać w wielu ogrodach zoologicznych, między innymi we Wrocławiu, Gdańsku czy Poznaniu.



Chill z kapibarą

Fenomen kapibary

Kapibara jest uznawana za najbardziej wyluzowane zwierzę na świecie. Dużo osób nazywa ją „Coconut Dog” ze względu na jej sierść przypominającą kokosa. Za początek fenomenu kapibary uważa się działalność Japończyka Katsuhito Watanabe, który w 2006 roku po raz pierwszy zobaczył kapibarę w zoo, i tak zachwyciło go to zwierzę, że postanowił dokumentować jej życie. Od prawie 20 lat prowadzi bloga, profil na Instagramie i kanał na YouTube, na których umieszcza materiały multimedialne z tymi zwierzętami.

Na Zachodzie moda na kapibary pojawiła się dużo później. Zaczęło się od konta na Tumblr o nazwie „Animals Sitting on Capybaras”, na którym publikowano zdjęcia zwierząt domowych siedzących na grzbiecie kapibary. W 2016 internet obiegło nagranie, w którym kapibara niewzruszona obserwuje atak jaguara na krokodyla. Dwa lata później pojawiły się filmiki kapibary kąpiącej się w pomarańczach, a krótko później na Twitterze powstał profil, na którym codziennie publikowano zdjęcia kapibary. Liczba followersów szybko przekroczyła 20 tysięcy i stale rośnie.

W Polsce gryzonię te rozślawił Marco Kubiś, który na swoim YouTube publikuje filmiki z kapibarą wygenerowaną przez sztuczną inteligencję. Jako że kapibara to zwierzę symbolizujące relaks i odpoczynek, na Tikoku i Instagramie pojawiają się grafiki i filmiki oznaczone „kapibara vibe” oraz „chill z kapibarą”.

Ostatecznym krokiem w popularyzacji tego gryzonia była piosenka „The Capybara Song”, której refren składa się z jednego słowa — kapibara — natomiast w zwrotkach możemy posłuchać o zaletach zwierzaka.

Święto kapibary

Te największe gryzonie świata doczekały się nawet swojego własnego dnia. 10 lipca obchodzimy Dzień Kapibary. Choć święto pojawiło się stosunkowo niedawno, to z roku na rok staje się coraz bardziej popularne. Najwięcej wydarzeń z okazji tego dnia odbywa się w mediach społecznościowych, gdzie użytkownicy TikToka czy Instagrama dzielą się filmikami, zdjęciami i grafikami z kapibarą w roli głównej. Ogrody zoologiczne również wykorzystują okazję i w ten dzień oferują różne atrakcje z kapibarami. Można je wtedy samodzielnie nakarmić, pogłaskać, a także porozmawiać z ich opiekunami i dowiedzieć się ciekawostek o nich.

W krajach Ameryki Południowej, gdzie mieszkają kapibary, organizowane są wydarzenia edukacyjne w rezerwach przyrody i ośrodkach ochrony zwierząt. W Japonii kapibary cieszą się ogromną sympatią, wiele ogrodów zoologicznych przygotowuje specjalne kąpiele w gorących źródłach dla tych zwierząt. Także w kawiarni, w której zwierzaki mieszkają, można świętować z nimi, a nawet podarować im roślinny tort. Natomiast w Stanach Zjednoczonych popularne są akcje charytatywne na rzecz ochrony zwierząt oraz konkursy na najlepsze memy i grafiki z kapibarami w roli głównej.

Gadżetowy zawrót głowy

Firmy zajmujące się gadżetami wykorzystywały rosnącą popularność kapibar i rozpoczęły produkcję materiałów z ich podobiznami. Obecnie na rynku znajdziemy dosłownie wszystko z motywem tego gryzonia, od maskotek przez kubki, plakaty, a nawet bieliznę. Platformy azjatyckie, takie jak AliExpress czy Temu, oferują prawdziwy raj dla miłośników tych zwierzątek. W Japonii dużym zainteresowaniem cieszą się kapibarowe onseny, czyli figurki przedstawiające kapibary relaksujące się w gorących źródłach.

W Polsce najpopularniejszym gadżetem stała się kapibarowa bluza inspirowana stylem „cozy aesthetic”. Wiele marek odzieżowych wprowadziło do sprzedaży kolekcję ubrań z tym motywem, a także akcesoria, takie jak etui na telefon, naklejki czy poduszki. Można więc powiedzieć, że kapibara nie tylko opanowała ogrody zoologiczne na całej ziemi, ale także świat gadżetów i akcesoriów.

Milena SPIRALSKA
milspi@st.amu.edu.pl

W poszukiwaniu korzeni

Oświadczyny na koniu, ciocia w armii Andersa, rodziny na wersalce, wiejski teatr... Odkrywanie historii swojej rodziny wzbudza wielką ekscytację i zawsze zwiększa apetyt na więcej. Więcej przodków, więcej zdjęć, więcej niezwykłych opowieści. Chciałabym zarazić Was tą ekscytacją i zachęcić do własnych poszukiwań!

Czwartoklasista Wojtek starannie zapisuje w zeszytach na jednej z pierwszych lekcji historii temat: „Poznaj historię swojej rodziny”. Na końcu zajęć nauczycielka dyktuje uczniom zadanie domowe: „Na dużej kartce formatu A2 wykonam drzewo genealogiczne mojej rodziny”. Chłopiec wraca do domu i opowiada rodzicom o projekcie. Imiona babć i dziadków zna, ale musi dopytać o daty ich narodzin i ślubów. Później dowiaduje się o imionach pradiadków i jeszcze dalszych przodków, babcia Liliana zaś pokazuje mu zdjęcia swoich rodziców. Wojtek pilnie nanosi wszystkie informacje na brystol. Dumny oddaje nauczycielce pracę, a po uzyskaniu oceny celującej drzewo genealogiczne wraca do domu chłopca.

Brzmi znajomo? Podejrzewam, że tak. Co potem się dzieje ze skrupulatnie przygotowywanym projektem? Trafia na szczyt szafy, na której będzie zapomniany, czy też zostaje oprawiony w ramkę i powieszony w salonie? Niezależnie od tego, jak podchodziliśmy do robienia drzewa genealogicznego w dzieciństwie, teraz możemy znaleźć w sobie pasję do odkrywania dziejów swojej rodziny.

Żywe źródła historii

Zdecydowanie pierwszą zachętą do poznania historii rodziny jest kontakt z jej starszymi członkami. Zaczniemy od podstawowych pytań, uporządkowania chronologii, kolejnych

miejsz zamieszkania, wykonywanych zawodów. Potem spróbujmy się zagłębić i dotrzeć do osobliwych opowieści. Seniorom z pewnością zajmie chwilę wczucie się w klimat sprzed kilkudziesięciu lat, ale po jakimś czasie będą sypać anegdotami jak z rękawa.

Trzeba znaleźć w sobie coś z osoby dziennikarskiej. Przygotujmy wątki do poruszenia w rozmowie, sprawy, które chcemy doprecyzować. Warto nagrywać rozmowy dyktafonem, a jeśli rozmowy nie chcą się na to zgodzić, koniecznie zapisujemy jak najwięcej z tego, co powiedzą. Nie ma co ufać ludzkiej pamięci!

Zajrzyjmy do wnętrza wiekowych szaf. Dobry punkt zaczepienia to stare fotografie, które potrafią przywołać odległe wspomnienia i zwiualizować historię. Nieocenione źródło informacji stanowią zachowane listy, dzienniki, kalendarze z zapiskami. Są one odporne na ulotną pamięć oraz zmianę perspektywy, jaka ma miejsce w przypadku wracania do wydarzeń po upływie czasu.

Kiedy pamięć zawodzi

Jeśli poszukiwane akta mają mniej niż osiemdziesiąt czy sto lat, są przechowywane w urzędach stanu cywilnego, w których można wnioskować o wydanie kopii dokumentów. A starsze dane? Wiele z nich zostało zdigitalizowanych i udostępnionych w internecie.

Koniecznie zaczniemy od strony internetowej Geneteka (geneteka.genealodzy.pl), prowadzonej przez Polskie Towarzystwo Genealogiczne. Jest to baza danych z intuicyjną wyszukiwarką, która pozwala znaleźć informacje o urodzeniach, małżeństwach i zgonach przodków z zawężeniem do konkretnej miejscowości lub parafii. Oprócz terenów Polski dostępne są dane z ziem wschodnią granicą oraz z Czech, Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Na Genetece znajduje się wiadomość, że dotąd zin-

deksowano 58 875 193 wyników – liczba ta wciąż wzrasta. Jeśli interesujące was akty zostały zdigitalizowane, nie ma lepszego miejsca, w którym można je znaleźć. Podczas poszukiwań trzeba być spostrzegawczym, żeby zauważyć powiązania między imionami rodziców i dzieci czy też racjonalne odległości chronologiczne dzielące czas narodzin i ślubów.

Dzięki tej stronie udało mi się znaleźć nazwiska przodków jednej gałęzi rodziny aż osiem pokoleń wstecz – dotarłam do 1793 roku. To data drugiego rozbioru Polski! Niektóre informacje zachowały się z kronikarską dokładnością. Dowiedziałam się na przykład, że moi 7x-pradiadkowie wzięli ślub 7 lutego 1820 roku w Cerekwi. Może dla niektórych to tylko suche fakty, ale dla mnie odkrywanie danych z tak odległych czasów jest bardzo ekscytujące.

Geneteka to oczywiście nie jedyna internetowa baza danych, jednak największa i łatwo dostępna. Dla osób mających swoje korzenie w Poznaniu przydatna może się okazać strona e-kartoteka.net, która zawiera karty meldunkowe z lat 1870–1931. Są w nich informacje między innymi o urodzeniu, zawodzie, wyznaniu, kolejnych zmianach miejsca zamieszkania.

Zainteresowanym polecam zaobserwować na Facebooku lub Instagramie profil Duchy przodków, prowadzony przez Martę Maćkowiak. Genealozka często udziela rad, w jaki sposób szukać własnych korzeni, a także dzieli się ciekawymi odkryciami ze swojej pracy.

Jak to ogarnąć?

Pod względem technicznym na przygotowanie skomplikowanego drzewa genealogicznego duża kartka może nie wystarczyć. Jeśli umiemy korzystać z programów graficznych, większy schemat dobrze rozrysujemy na przykład w Adobe Illustrator lub Canvie.

Bardziej zautomatyzowaną opcję gwarantują (zazwyczaj) płatne strony, specjalizujące się w budowaniu siatek przodków. Jednym z popularniejszych narzędzi tego typu jest MyHeritage, które oferuje darmową wersję tworzenia rodzinnego sche-

Motyw przewodni wcale nie musi wysuwać się na pierwszy plan. Nikt do tej pory nie sformułował takiego prawa. Jeżeli jest inaczej – proszę o wskazanie konkretnego paragrafu. Skrzypek z Anatewki obali literę prawa. Parę słów o kultowym utworze w Wielkim wydaniu.

Żywot artysty nie jest usłany różami. Truizm? Chyba tak. Mimo to warto o nim przypomnieć w epoce zdominowanej przez generowane cyfrowo treści. Wydawać mogłoby się, że tak niekorzystne warunki, docisną do ziemi twórczość naszego gatunku i zmuszą do klepania o matę. Nonsens. Ludzie, a wraz z nimi ich talenty, mają się dobrze. W teatrze na pewno są górą. Przynajmniej na razie.

Śledząc historię ludzkości, natrafia się na trop reguły. Każdy ojciec przeszłości liczył na potomstwo. Szczególnie troszczył się o sprowadzenie na świat syna. Co najmniej jednego. Na męskiego potomka czekali nie tylko wielcy tego świata. W osobie dojrzewającego chłopca dopatrywali się sukcesora tronu. Człowieka odpowiedzialnego za kraj i jego politykę. Małuczcy zawężali nieco perspektywę. Nie chodziło o poszerzanie wpływów, a o przekazanie posiadanego majątku. Szczególnie gdy do przejścia była ziemia, zakład czy domostwo. Wszystko to miało przyczynić się do zapewnienia bytu rodzinie.

3x córka = 3x nieszczęście?

Tewje jest powszechnie znanym i szanowanym mleczarzem, jedynym przedstawicielem swojego zawodu w miejscu zamieszkania. Skarzy się na chudość swojego portfela. W znoju pociesza go myśl o ukochanej rodzinie, tej małej częście społeczeństwa, z której jest dumny. To nie jedyne uczucie towarzyszące mu w chwilach zadumy. Gdzieś z głębi wydobywa się strach. Oślizgły, nękający lęk, wywołany obecnością trzech córek w domu. Miłość do latorośli nie jest w stanie znokautować niepokoju. On czyha, oddala się i powraca. Wybijają rytm szargający spokój ojca. Jego największym zmartwieniem jest wydanie każdej z dziewcząt za mąż. Liczy na dobre małżeństwa. Relacje pełne rozsądku i korzyści, nie prawdziwego uczucia.

Zabieganie o majątnych zięciów spełza na niczym. Cajtla – najstarsza córka, zrywa zaręczyny z dużo starszym partnerem. Nie jest zainteresowana małżeństwem z rozsądku, woli słuchać głosu serca. W nim zaś mieszka od długiego czasu Motel – ślamazarny, odrobinę pokraczny krawiec z dziurawą kieszenią. Druga co do wieku siostra – Hudel – wpada na Perczyka, intelektualistę z Kijowa, który zatrzymuje się w Anatewce, by odpocząć w podróży. Zbliżenie młodych następuje spontanicznie. Opór rodziców, wynikający z tradycji i niechęci do socjalistycznych poglądów przyjeźdnego, zostaje złamany z biegiem czasu. W najgorszym

Nie pierwsze skrzypce



Nie ma wątpliwości, że to Wielkie widowisko

położeniu znalazła się Chawa, najmłodsza i najmniej szczęśliwa. Jej jako jedynej nie udało się zmienić percepcji Fiedki – ukochanego, który obronił ją przed bandą chłystków i stworzył bramę do świata literatury. Na nic zdały się atuty jego charakteru. Brak akceptacji dla związku wywołała odmienną wyznania zięcia. Cerkiew okazała się przeszkodą nie do ominięcia.

Spirala wieków

Utwór, na podstawie którego został wyreżyserowany spektakl, powstał ponad 130 lat temu. Nie oznacza to, że jest zakurzonym eksponatem, rzuconym w kąt, niechcianym przez odwiedzających wystawę. Porusza kwestie nietracące na aktualności. Staje twarzą w twarz z problemami współczesnego świata. Porusza kwestie emancypacji kobiet i ich wysiłków na rzecz równości w społeczeństwie. Ukazuje niezmiennie trudną od wieków sytuację diaspory żydowskiej. Szerzej zaś; każdej mniejszości etnicznej i narodowej. Ścieranie się pokoleń, szczególnie brutalne na przestrzeni XX wieku w wyniku wstrząsów, które owe stulecie przyniosło. Odbicie problemów. Niezależnie od czasu i miejsca. Uniwersalne.

Wymowność sztuki wzrasta na początku 2025 roku. Glob zszargany konfliktami, podzielony, niestabilny. Widz otrzymuje pigułkę zawierającą wszystkie niepokoje, z jakimi ma do czynienia. Obraz rokujący niewielkie nadzieje na poprawę. Dotkliwy szczególnie dla tych najsilniej wczutych w potrzeby drugiego człowieka. Gdzieś w tle pobrzmiwa echo rewolucji. Geograficznie wcale nie tak odległej od Donbasu. To huk mącający po-

rzątek rzeczy. Huragan gwałcający pokój. Niestety wiecznie obecny w pogodzie świata.

Tragiczność losów bohaterów wcale nie rozgrywa się na scenie teatru. Pogrom, który inicjują bolszewicy, to tylko scenariusz. Rzeczywistość jest zbiorem moralnych szarad. Zrzucenie jarzma to trud pokoleń. Narzucenie – kwestia kilku ustaw i odpowiednich zabiegów. Sytuacja na Bliskim Wschodzie jest testem z pokory i odpowiedzialności. Trudne położenie? Bez wątplenia. Czy oznacza ono przyzwolenie na łamanie podstawowych praw człowieka i mobilizację monstrialnej maszyny obłąkającej? Bynajmniej. Grzechem jest apoteozowanie własnej krzywdy, gdy depece się dużo słabszych od siebie.

Werdykt

Mały festiwal drewna. Oto podsumowanie tego, co otacza aktorów. Niezwykle urokliwa i trafna atrapa miejscowości sprzed stu lat, gdzieś w imperium rosyjskim. Wrażenie sentymentu i swojskości uwiecznione na najstarszym zdjęciu praprzodków w rodzinnym albumie. Kostiumy sprawiają, że odległy świat czerni i bieli ożywa. Rusza się, mówi, trwa. Wielki atut. Zupełnie tak jak oprawa muzyczna. Jej chlubą jest wchłonięte i przetrwone setki razy „Gdybym był bogaty”. Na co dzień trudno zrozumieć, co tak naprawdę ma wartość. Oby Anatewka z jej dylematami nigdy nie wykroczyła poza scenę. W tym miejscu czaruje najsilniej.

JĘDRZEJ WRÓBLEWSKI
jedwro1@st.amu.edu.pl



zwykle cennymi pamiątkami

matu do dwustu pięćdziesięciu członków rodziny. Strona pozwala na układanie skomplikowanych powiązań rodzinnych wielu pokoleń, a każda z osób ma swój profil, w którym oprócz istotnych dat można zamieścić zdjęcie i inne informacje biograficzne. Wartościową opcją dostępną na tej stronie jest powiadomienie użytkownika, kiedy krewni z jego drzewa genealogicznego pojawiają się w schemacie kogoś innego. Oczywiście zdarzają się pomyłki wynikające ze zbieżności nazwisk, ale zazwyczaj program dobrze rozpoznaje odpowiednie przypadki. Mojej babci udało się w ten sposób znaleźć daleką krewną i au-

tomatycznie poszerzyć drzewo genealogiczne naszej rodziny. MyHeritage oferuje ponadto testy DNA umożliwiające sprawdzenie swoich genów, „ożywianie” zdjęć za pomocą sztucznej inteligencji czy też wyszukiwanie dokumentów w różnych bazach danych.

W drogę!

Bardziej angażującym krokiem w poszukiwaniu własnych korzeni mogą się okazać genealogiczne podróże. Warto je rozważyć, szczególnie, kiedy znamy dokładne adresy miejsc za-

mieszkania naszych przodków. Jeśli mamy taką możliwość, zaproponujemy wyjazd swoim dziadkom!

Z jednej strony odwiedzenie miejsc, w których mieszkali nasi przodkowie, może dać nam poczucie więzi, wczujemy się w budynki i okolice. Krajobraz z pamięci naszych dziadków z pewnością zmienił się na przestrzeni tylu lat, ale niewykluczone, że rozpoznamy pewne elementy z rodzinnych historii. Może to być jezioro, nad którym dziadkowie w młodości spędzali letnie popołudnia, albo kościół, w którym wzięli ślub. Kto wie, może został się ich dom lub jakieś jego fragmenty i rozpoznamy je ze starej fotografii. Nie dziwny się, kiedy spotkamy swoje bardzo dalekie kuzynostwo, niewiedzące nawet o naszym istnieniu.

Przy okazji takiej podróży odwiedźmy cmentarze i inne – na przykład wojskowe – miejsca pamięci w poszukiwaniu nazwisk rodowych. Domyślam się, że ta możliwość może być ograniczona w przypadku większych miejscowości czy też posiadania popularnego nazwiska.

Warto też się umówić na spotkania w lokalnych urzędach stanu cywilnego i w biurach parafialnych. Szczególnie w tych drugich osobista wizyta może przynieść niespodziewane znaleziska. Nie wszystkie księgi wieczyste zostały zdigitalizowane i udostępnione w internecie, jak na wspomnianej stronie Geneteka. Księgi mogą pomóc w odnalezieniu oryginalnych aktów chrztu, małżeństwa lub zgonu, które często się zachowują z osobliwymi adnotacjami, na przykład o profesji rodziców czy też sytuacji rodzinnej.

Nie zapominajmy o odpowiednim dokumentowaniu współczesności! W tym względzie imponuje mi przyjaciółka mojej babci, Krystyna. Od lat z artystycznym kunsztem spisuje dzieje swojej rodziny w opasłych kronikach – ma już kilkanaście tomów w kolekcji! Każdy może znaleźć w sobie powołanie bycia rodzinnym archiwistą. Zdjęcia i zapiski staną się nie tylko cennym źródłem wiedzy dla przyszłych pokoleń, ale i sposobem na odświeżenie naszej pamięci. Prawdopodobnie szybciej niż możemy przypuszczać.

Anna BIELECKA
annbie10@st.amu.edu.pl

Barman to jedyna osoba, która może ci nalać, ocenić twoje życiowe wybory i jeszcze dostać za to napiwek. To mistrz small talku, iluzjonista sprawiający, że kieliszek nigdy nie jest pusty, a także cierpliwy słuchacz historii, które rano powinny zostać zapomniane. W jego rękach nawet najprostszy drink nabiera charakteru, a wieczór – nieprzewidywalnego zwrotu akcji.

Zawód barmana nie należy do najłatwiejszych. Wiąże się z ciągłym doksztalcaniem, kontaktem z przeróżnymi klientami i skrupulatnym przygotowywaniem napojów. A jak wiadomo, jakakolwiek praca z klientem rodzi wiele wyzwań – od wysłuchiwania negatywnych epitetów, przez poznawanie intrygujących historii, po sytuacje wywołujące uśmiech na twarzy. Zawód ten wiąże się z ryzykiem, ale i z szansami. Kim są tacy ludzie i jak radzą sobie z klientami, którzy „wcale nie są pijani”? Na pytania o specyfikę pracy oraz inne wątki odpowiedział barman Radek Olejniczak.

Skąd wzięło się u Ciebie zainteresowanie barmaństwem i jak wyglądały Twoje pierwsze kroki w tym zawodzie?

– Moja przygoda z barmaństwem rozpoczęła się w wieku 19 lat, gdy na urodziny otrzymałem od rodziców kurs barmański. Całość trwała cztery dni, podczas których dowiedziałem się wielu rzeczy – jakie są podstawowe alkohole i sposoby ich produkcji oraz jak rozpoznać jakościowy produkt. Szkolenie obejmowało również praktykę i miałem okazję spróbować klasycznych koktajli. Po szkoleniu zakupiłem zestaw barmański, o którym też się dużo dowiedziałem, i barmaniłem głównie na domówkach. Tak minęły dwa lata, po których spróbowałem swoich sił jako profesjonalny barman.

Zbyt szybkie tempo życia często zamyka nam oczy na to, co ważne. Nie zawsze jednak chcemy się zatrzymać i to dostrzec. Z pomocą przychodzi gra „It Takes Two”. Zmuszając do współpracy i poruszając wątek relacji międzyludzkich, skłania do refleksji nad naszą codziennością. Tym samym zamienia zwyczajną rozrywkę w wartościowo spędzony czas. Jego owocem jest rozwój istotnych kompetencji miękkich, tak szczególnie ważnych w związkach.

„It Takes Two” to gra przygodowa przedstawiająca historię rozpadającego się małżeństwa May i Cody’ego zamienionych w lalki. Podczas rozgrywki – współdziałając z drugim graczem – napotykałyśmy różne zadania, które mają odbudować relację głównych postaci. W podzielonej na kilka części misji wraz z nimi uczymy się, jak rozumieć drugą stronę czy rozwiązywać konflikty, a przede wszystkim, jak współpracować. Cała fabuła przepelniona jest przeróżnymi elementami z życia skłóconej pary mającymi im pomóc dojść do porozumienia. Wspólnie z bohaterami napotykałyśmy groźną królową pszczoł, bojowe wieiórki, wściekły odkurzacz, smutne narzędzia i inne, różnego rodzaju postacie. Jedną, a zarazem najważniejszą z nich, jest Doktor Hakim, który występuje w postaci książki o miłości. Wciela się on w rolę terapeuty, który towarzyszy parze na każdym etapie rozgrywki. Wskazuje na istotne aspekty relacji romantycznej i uczy małżeństwo, jak sobie z nimi radzić. Razem z bohaterami odwiedzamy też ważne dla nich miejsca czy poznajemy ich hobby, tworzące obraz osobowości każdego z osobna. Wszystko to ma doprowadzić May i Cody’ego do ich ukochanej córki, która pragnie ich pojednania.

Nie bez znaczenia jest fakt, że „It Takes Two” to gra kooperacyjna. Zadania stawiane przed graczami są możliwe do wykonania jedynie poprzez wspólne działanie. To mocne podkreślenie wagi współpracy w życiu każdego człowieka. Nikt bowiem nie jest w stanie osiągnąć wszystkich swoich celów w pojedynkę. Na naszej drodze zawsze napotykałyśmy sytuacje wymagające wsparcia ze strony innych. Sam fakt egzystowania w formie ludzkiej podkreśla potrzebę posiadania przy sobie drugiego człowieka. W trakcie rozgrywki uczymy się również rozumieć drugą stronę, co jest niezwykle ważne przy współdziałaniu. Łatwiej jest nam żyć w harmonii z innymi, kiedy znamy ich podejście do świata, zainteresowania czy bolączki.

Przyjemne z pożytecznym

Cała rozgrywka opiera się na motywie terapii dla par, której uczestnikami są May i Cody. Jednak to nie jedyni biorący w niej udział pacjenci. Za pośrednictwem kontrolera to również sami gracze wcielają się w ich role. Doktor Hakim na każdym etapie

Odkrywając nutę smaku

Pracowałeś jako barman zarówno w Niemczech, jak i w Polsce. Jak trafiłeś do Berlina i z jakimi wyzwaniami musiałeś się tam zmierzyć?

– Szukałem daleko i znalazłem ofertę pracy w restauracji w samym centrum Berlina. Było to dużym wyzwaniem, niemiecki nigdy nie był moją mocną stroną. A zwyczaje alkoholowe Niemców różnią się znacząco od Polaków. Jednak dzięki tej okazji zyskałem dużo doświadczenia i pomogło mi to uzyskać pracę jako barman w Poznaniu.

Jak wygląda typowy dzień pracy barmana i jakie elementy są w nim najważniejsze?

– Praca barmana polega w głównej mierze na obsłudze gości. Smaczny koktajl to tylko finalny efekt wspaniałego show. Obowiązkowa jest jednolita, najlepiej czarna koszula, podwinięte rękawy i oczywiście wieczny uśmiech na twarzy. Nawet wtedy, kiedy gość wyklóca się, że whisky sour, który przed chwilą dostał, powinien zawierać wódkę. Bardzo ważne jest przygotowanie baru przed rozpoczęciem pracy, pokrojenie owoców, przygotowanie szkła, przyniesienie lodu. Normalnie zajmuje to około godzinę i też godzinę się cały bar sprząta.

Jakie najczęstsze nieporozumienia zdarzają się przy barze i czy masz jakąś historię, która szczególnie zapadła Ci w pamięć?

– Zazwyczaj ludzie mają dużo pytań przed zamówieniem. Na przykład, jaki alkohol podajemy do tequili sunrise. Inni zobaczą przepis na TikToku, który wymyślił jakiś internetowy barman, i mają pretensje, że nie znam na niego przepisu.

Dodatkowo ludzie nie mają tak naprawdę pojęcia o koktajlach. Któregoś razu pewna pani przyszła, prosząc o kieliszek margarity. Jest to bardzo znany klasyk, który pijają głównie kobiety. Charakteryzuje się tym, że jest kwaśny i wytrawny. Składa się z tequili, likieru pomarańczowego oraz soku z limonki, a dekoruje się go crustą z soli. Pani nie wyglądała na miłośniczkę tego typu smaków, więc dopytałem, czy chodzi jej o oryginał, czy może o margaritę truskawkową. Pani zarzekła się, że o klasyczną, bo już piła i jej smakowało. Przygotowałem więc to, o co prosiła. I jakież było jej zdziwienie – a dla mnie żadne – kiedy powiedziała, że nie to zamawiała. Próbowaliśmy grzecznie wyjaśnić, że to, co wcześniej piła, nie było oryginalną margaritą, a najprawdopodobniej jej nowocześniejszą wariacją typu frozen strawberry margarita. Kiedy oznajmiłem, że reklamacji nie przyjmę, bo koktajl wykonałem zgodnie z jej instrukcjami i zgodnie z przepisem, to wyraziła swoją dezaprobatę.

Czy masz jeszcze inne zaskakujące sytuacje?

– Pewnego razu chwiejnym, lecz zdecydowanym krokiem do restauracji, w której kiedyś pracowałem, weszła jakaś pani. Od razu podeszła do baru i poprosiła o kieliszek tequili. Jako że restauracje mają inną politykę niż normalne bary, wytłumaczyłem jej, że musi usiąść przy stoliku i tam złożyć zamówienie. Jednak ona nie chciała nic zjeść. Chciała tylko shota. Nalałem jej więc, a ona od razu zapłaciła kelnerce obok, po czym wyszła. W barze to nic dziwnego, ale w restauracji taka sytuacja jest komiczna.

rozmawiała Agnieszka ŁUKASZEWSKA
agnluk7@st.amu.edu.pl

Inny wymiar „terapii” dla par



Bo do tanga trzeba dwojga

gry wskazuje na różne sposoby radzenia sobie z problemami w związku. Zabiera bohaterów w wiele związanych z nimi miejsc. Podkreśla to, co jest ważne dla każdej ze stron, co postacie uszczęśliwia, a czego nawzajem nie potrafią dostrzec. Dzięki temu para lepiej poznaje siebie nawzajem. Zaczyna też dostrzegać poświęcenie każdego z osobna na rzecz rodziny.

Książka o miłości przywraca im wspomnienia, ukazując rdzeń ich szczęśliwego związku. W trakcie pełnej refleksji podróży May i Cody dostrzegają wreszcie ogrom miłości, który wspólnie wkładają w tworzenie rodziny. Jednocześnie uświadamiają sobie destrukcyjny wpływ ich problemów związkowych na niewinną córkę. Przeżywając wszystkie chwile razem z głównymi postaciami, gracze są w stanie się z nimi utożsamić i pomyśleć o swoich własnych relacjach. Nauki Doktora Haki-

ma mogą więc nie tyle naprawić relację lalek z ekranu, ile sterujących nimi ludzi.

Rozrywka czy nauka?

Mimo wspomnianych wątków różne osoby mogą dostrzegać w grze inne wartości. Być może dla jednych jest to zwykła rozrywka, dla kolejnych powód do głębszych refleksji, dla pozostałych gra łączy oba te aspekty. – Fajnie pokazuje możliwość naprawienia relacji. Gra uświadamia, że warto zainteresować się drugą osobą i zrozumieć jej perspektywę na związek. Dobrze, że takie rzeczy są poruszane w grach. Wartością dodaną jest to, iż przekaz może szczególnie trafić do młodych ludzi i pomóc im w budowaniu relacji. Gra daje dużo do myślenia, jest edukacyjna i przy tym wszystkim jest świetną rozrywką dla par – mówi Michał, gracz komputerowy. – Nie jest to tylko kolejna gra rozrywkowa. Ma głęboki, emocjonalny wymiar, który sprawia, że przekazuje ważne wartości. Zawiera elementy, które mogą pomóc w zrozumieniu, jak ważne są komunikacja, współpraca, kompromis i wytrwałość w relacjach. Może pełnić rolę swoistej terapii, bo skłania do rozmów na temat problemów w związkach, emocji i trudnych decyzji. Choć nie jest to typowa terapia, doświadczenie gry może stanowić inspirację do głębszej refleksji nad relacjami i tym, jak je naprawiać – stwierdza Filip, fan gier wideo.

– Motyw współpracy to zdecydowanie coś na plus tej gry, fajnie, że trzeba się angażować wspólnie – podkreśla Paulina, sympatyczka gier kooperacyjnych. – Dla mnie to raczej gra rozrywkowa, z której można wyciągnąć jakieś wartości, ale to trochę naciągane. Gra jak to gra – dodaje. – Podobał mi się motyw współpracy, ponieważ było to coś, nad czym pracowaliśmy wspólnie, żeby móc przejść tę grę – mówi Piotrek, partner Pauliny. – Jest to gra głównie rozrywkowa, ale były tam wątki rodzinne, nad którymi można się głębiej zastanowić – dodaje.

Nauka przez rozrywkę to coraz bardziej popularny zabieg. Na szczególne uznanie właśnie pod tym kątem zasługuje „It Takes Two”. Nacisk na edukowanie w kwestii relacji międzyludzkich to dobitny dowód na jej silną pozycję wśród podobnych gier tego typu. Często zasiadając przed ekranem, chcemy po prostu się wyłączyć i oddać dobrej zabawie. Dobrze więc, że czasami możemy doświadczyć wartościowych skutków ubocznych. Zabijając nudę, uczymy się, jak współpracować, pielęgnować relacje i oddajemy się ważnym refleksjom na ich temat. Możliwość skorzystania z tej niekonwencjonalnej „terapii”, jaką zapewnia gra Hazelight Studios, to nieoceniona zaleta dla wielu ludzi.

Wiktorija JESIONKA
wikjes@st.amu.edu.pl

Calabria to jeden z najbardziej niedostępnych i zapomnianych regionów Włoch. Położona na samym czubku włoskiego „buta”, oddzielona od Sycylii Cieśniną Mesyńską, przez wieki była traktowana jako peryferie kraju, zarówno pod względem infrastrukturalnym, jak i gospodarczym. Choć otoczona morzem, z pięknymi plażami i malowniczymi górami, Calabria pozostaje jednym z najstąbiej rozwiniętych regionów Włoch, a nawet Europy.

Izolacja geograficzna Kalabrii od lat hamuje jej rozwój. Słabo rozwinięta infrastruktura – brak autostrad o wysokim standardzie, ograniczona sieć kolejowa i nieliczne połączenia lotnicze – utrudniają transport i zniechęcają inwestorów. Nawet turystyka, która mogłaby napędzać gospodarkę, rozwija się tu wolniej niż w innych regionach Włoch.

Calabria jest częścią Mezzogiorno – biedniejszego, rolniczego południa, które od dekad zmaga się z bezrobociem i brakiem dużych firm. Dla mieszkańców oznacza to ograniczone perspektywy zawodowe i konieczność emigracji – zarówno do północnych Włoch, jak i za granicę.

Podział

Historia Włoch to historia podziału. Przed zjednoczeniem w XIX wieku Półwysep Apeniński był mozaiką niezależnych księstw, królestw i republik, z których każde miało własne prawo, walutę, wojsko i przede wszystkim – odrębną tożsamość kulturową. Przez wieki północ i południe rozwijały się w zupełnie inny sposób. Podczas gdy północ Włoch stopniowo stawała się jednym z europejskich centrów handlu i przemysłu, południe znajdowało się pod kontrolą Królestwa Obojga Sycylii, państwa rolniczego, zależnego od feudalnych struktur i niemal całkowicie pozbawionego nowoczesnej gospodarki.

Proces jednoczenia Włoch, który oficjalnie zakończył się w 1861 roku, był w dużej mierze wynikiem działań Napoleona Bonapartego i jego kampanii na terenie półwyspu. Francuzi wprowadzili nowoczesne reformy administracyjne, a po ich odejściu idea jednolitości Włoch zaczęła nabierać realnych kształtów. Jednak zjednoczenie nie odbyło się na równych zasadach – to Piemont, najbardziej rozwinięte i uprzemysłowione państwo włoskie, narzucił swoje prawa, podatki i system polityczny całemu krajowi, nie biorąc pod uwagę różnic między regionami. Dla południa oznaczało to przede wszystkim gospodarcze podporządkowanie bogatej północy.

W momencie zjednoczenia Królestwo Obojga Sycylii było formalnie częścią nowego państwa włoskiego, ale realnie stanowiło obszar zacofany i pozbawiony infrastruktury. Zniesienie wewnętrznych barier celnych spowodowało, że lokalne manufaktury i rolnictwo nie były w stanie konkurować z tanimi i bardziej efektywnymi produktami z północy. Wiele lat zaniedbań, brak inwestycji oraz wysoka korupcja sprawiły, że region stał się jednym z najbiedniejszych w Europie. Co więcej, centralizacja władzy w Rzymie i Turynie doprowadziła do sytuacji, w której południowe regiony, zamiast rozwijać własny potencjał, zaczęły być traktowane jako źródło taniej siły roboczej dla północnych fabryk. Właśnie wtedy rozpoczęła się masowa emigracja mieszkańców Kalabrii, Sycylii i Kampanii do Stanów Zjednoczonych, Argentyny i północnych Włoch.

Konflikt

Różnice między północą a południem Włoch są widoczne zarówno w gospodarce, jak i codziennym życiu mieszkańców. Mezzogiorno od lat zmaga się z problemami wynikającymi z historycznych, strukturalnych i społecznych nierówności. – Relacje między północą a południem można określić jako napięte, ale nie jest to kwestia ostatnich kilku lat. Podział ten sięga głęboko w historię i ma swoje podstawy w różnicach ekonomicznych, społecznych i kulturowych. Północ jest znacznie bardziej rozwinięta gospodarczo niż południe, co skutkuje wyższym bezrobociem na południu, większym poziomem ubóstwa i nierówności. Pandemia dodatkowo pogłębiła te różnice – mówi prof. Bartłomiej Secler z WNPiD, zajmujący się problematyką Włoch.

Północne regiony Włoch, takie jak Lombardia, Piemont czy Veneto, stanowią centra przemysłowe i finansowe kraju, przyciągając największych inwestorów oraz oferując najwyższy standard życia. Tymczasem, na przykład, Calabria, charakteryzuje się znacznie wyższą stopą bezrobocia i ograniczonymi inwestycjami infrastrukturalnymi. Jeszcze bardziej niepokojąco przedstawia się sytuacja na rynku pracy. Bezrobocie w Kalabrii utrzymuje się na poziomie około 20%, a wśród młodych osób poniżej 30. roku życia sięga nawet 40%. Dla porównania, w re-

Tam, gdzie kończą się Włochy



Miasto Reggio di Calabria



Elegancja klasycznej architektury w harmonii z śródziemnomorskim stylem

gionach takich jak Emilia-Romania czy Lombardia wskaźnik ten jest kilkukrotnie niższy. Wysoka stopa bezrobocia wśród młodzieży prowadzi do masowej emigracji młodych mieszkańców Kalabrii – zwłaszcza tych lepiej wykształconych, którzy nie widzą tam dla siebie perspektyw na przyszłość.

Infrastruktura na południu Włoch również pozostawia wiele do życzenia. Brak rozwiniętej sieci autostrad i kolei dużych prędkości utrudnia zarówno codzienne życie mieszkańców, jak i rozwój gospodarczy regionu. Podczas gdy północ Włoch cieszy się nowoczesnym systemem transportowym, wiele miejscowości w Kalabrii nadal zmaga się z problemami komunikacyjnymi.

Mafia

Działalność mafii wciąż stanowi jedno z największych wyzwań dla południowych Włoch, a Calabria jest domem dla jednej z najpotężniejszych organizacji przestępczych na świecie – „Ndranghety”. Podczas gdy sycylijska „Cosa Nostra” i neapolitańska „Camorra” przez dekady były na pierwszych stronach gazet, to właśnie „Ndrangheta” w ostatnich latach urosła do rangi najbogatszej i najbardziej wpływowej mafii we Włoszech. Jej struktura opiera się na silnych więzach rodzinnych, co czyni ją znacznie trudniejszą do infiltracji przez organy ścigania.

– Problem mafii w Kalabrii, ale także innych regionach, jak Kampania czy Sycylia, jest realny i nie można go ignorować. Mafia nie ogranicza się jedynie do przestępczości – ma wpływ na gospodarkę, politykę i lokalne społeczności. Coraz większym problemem staje się tzw. baby mafia, czyli nastolatki, a na-

wet dzieci, werbowani do organizacji przestępczych – mówi prof. Secler.

„Ndrangheta” kontroluje ogromną część międzynarodowego handlu narkotykami, zwłaszcza importu kokainy z Ameryki Południowej do Europy. Według szacunków włoskich i międzynarodowych śledczych, organizacja ta generuje roczne dochody rzędu dziesiątek miliardów euro, inwestując je w legalne przedsięwzięcia i przenikając do polityki oraz biznesu. Mimo licznych operacji policyjnych, jej wpływy wciąż pozostają ogromne, a lokalne społeczności często żyją w strachu przed konsekwencjami złamania omerty – mafijnego kodeksu milczenia.

Mafia w Kalabrii nie tylko kontroluje handel narkotykami, ale także wpływa na lokalną gospodarkę, wymuszając haracze od przedsiębiorców, korumpując urzędników i ograniczając rozwój regionu. Przestępczość zorganizowana odstrasza inwestorów, którzy nie chcą prowadzić działalności w miejscu, gdzie biznes często musi podlegać nieformalnym zasadom mafii. W efekcie Calabria pozostaje jednym z najbiedniejszych regionów Włoch, a jej mieszkańcy zmuszeni są do emigracji w poszukiwaniu lepszych perspektyw.

Wpływ przestępczości zorganizowanej na gospodarkę południowych Włoch jest trudny do oszacowania, ale jasne jest, że mafia pozostaje główną przeszkodą w rozwoju tych terenów. Bez skutecznej walki z jej wpływami Calabria i inne regiony południa mogą na długo pozostać w cieniu bogatszej północy, a historia podziału Włoch będzie kontynuowana.

Perspektywy

Podział między północą a południem Włoch to temat, który od lat budzi emocje i wywołuje liczne dyskusje. Czy różnice kulturowe i ekonomiczne wciąż wpływają na życie mieszkańców?

– Nie powiedziałabym, że mieszkańcy południa i północy Włoch darzą się niechęcią – mówi Swietłana, studentka Uniwersytetu degli Studi di Enna „Kore”. – To raczej stereotyp. Oczywiście, istnieją duże różnice w kulturze, gospodarce, a nawet w mentalności ludzi, ale to nic nowego. Może kiedyś prowadziło to do większych napięć, ale dziś te relacje są raczej pokojowe – dodaje.

Na co dzień więc różnice te nie są aż tak odczuwalne, ale pewne kwestie wciąż wpływają na życie mieszkańców południa. – Wiele osób wyjeżdża na studia lub do pracy na północ Włoch, bo tam jest więcej możliwości – przyznaje Swietłana. – Ale znam też wielu, którzy wracają. Sycylia ma swój urok, od którego trudno się oderwać – dodaje.

Nie brakuje też stereotypów na temat bezpieczeństwa. – W dzień czuję się całkowicie bezpiecznie – dzieli się swoimi doświadczeniami Swietłana. – Wieczorem bywa różnie, zwłaszcza jeśli chodzi o samotne spacerowanie. Wszystko zależy od dzielnicy, ale ogólnie nie jest to miejsce, w którym można zupełnie stracić czujność – wyjaśnia.

Nie ma więc wątpliwości, że pod kątem bezpieczeństwa i rozwoju regionu należy jeszcze wiele zrobić. Czy rząd włoski podejmuje działania, by zmniejszyć różnice między północą a południem? – Istnieją programy infrastrukturalne, społeczne i wsparcie dla rolnictwa. Wykorzystywane są tu także środki unijne – wyjaśnia prof. Secler. – Obecna premier Giorgia Meloni deklarowała w kampanii poprawę sytuacji południa, ale zmiany te wymagają lat, a nawet dekad – dodaje. Podział Włoch i problemy z tym związane to nie tylko kwestia gospodarki, ale także tożsamości. – Włoskie regiony są bardzo zróżnicowane – tłumaczy profesor. – Sycylijczycy, mieszkańcy Kalabrii czy Sardynii często podkreślają swoją odrębność kulturową i historyczną. To nie jest nowy fenomen – korzenie sięgają czasów sprzed zjednoczenia Włoch – tłumaczy.

Niekiedy można spotkać się ze stwierdzeniem że Włochy prędzej czy później będą musiały ulec rozpadowi. – Nie sądzę, aby groziła nam dezintegracja państwa. Oczywiście, istnieją tendencje separatystyczne, ale to bardziej retoryka niż realne zagrożenie. Ważniejszą kwestią jest poszerzenie autonomii niektórych regionów. Niektórzy dostrzegają w podziale północ-południe element tożsamościowy i bogactwo kulturowe Włoch, a nie tylko problem – mówi prof. Secler.

Czy można zatem zniwelować te różnice? – Napięcia można minimalizować poprzez wyrównywanie szans, inwestycje i wsparcie południa. Ale całkowite przewyższenie tego podziału jest mało prawdopodobne. Włochy to mozaika kultur i ta różnorodność jest jednym z elementów, które czynią ten kraj tak fascynującym – podsumowuje profesor.

Coraz popularniejsze staje się tworzenie remake'ów. Odtworzenie znanej już historii w nowej odsłonie wydaje się łatwiejsze aniżeli tworzenie opowieści od podstaw. Po tę formę sięga więc coraz większa liczba twórców. Po ponad stu latach od premiery filmu „Nosferatu – symfonia grozy” Friedricha Wilhelma Murnaua, światowej sławy reżyser Robert Eggers postanowił nakręcić nową wersję tego międzynarodowego hitu. Ale czy rzeczywiście kolejny remake był potrzebny?

„Nosferatu” miało swoją światową premierę w grudniu 2024 roku, jednak dopiero pod koniec lutego zawitało do polskich kin. Oczekiwania były wysokie, gdyż widzowie spodziewali się dobrego horroru, wywołującego u nich gęsią skórkę. Chcieli mrocznego, duszącego wręcz klimatu, który chwyci ich duszę szponami i nie wypuści aż do ostatniej sekundy. Film grozy został nominowany do wielu nagród, ale niewiele z nich otrzymał. Czy tak znakomicie zapowiadająca się produkcja okazała się fiaskiem?

Gotyk jak malowany

Robert Eggers w swoim remake'u zainspirował się starszymi wersjami filmu, przez co niektóre elementy historii się powielają. Już od samego początku można zatopić się w mrocznej, niepokojącej atmosferze i wczuć się w świat, w którym nic nie jest takie, jakim się wydaje. Gotyckie budowle, gęsta mgła i ciasne uliczki prowadzące donikąd sprawiają, że „Nosferatu” w pewnym stopniu spełnia kryteria horroru. Jednak, czy wywołuje strach u widza? Owszem, są momenty, w których można się wystraszyć, a nawet podskoczyć na fotelu, ale przez większość czasu jest to wyłącznie budowanie napięcia.

Remake zachwyca ujęciami. Trzeba przyznać, że warstwa wizualna została stworzona ze smakiem i stanowi ucztę dla oczu. Kadry są naprawdę spektakularne, dzięki grze światłem, zachowanej ponurej kolorystyce oraz pięknym, historycznym kostiumom. Jednak jest wiele scen, w których nie ma żadnych dialogów, przez co momentami sama estetyka nie wystarcza, gdyż film zaczyna się dłużyć, a nawet nudzić ze względu na brak wyraźnej dynamiki.

W całej fabule znajduje się też kilka niedociągnięć w zakresie spójności. Widz, który nie miał wcześniej do czynienia z poprzednimi wersjami filmu, może nie zdawać sobie sprawy z tego, skąd się wzięła więź Ellen z Orlokiem i o co w niej chodzi. Brakuje również ukazania głębi postaci samego wampira i jego motywów.

Między jawą a snem

Momentami odnosi się wrażenie, że niektóre wątki zostały przedstawione pobieżnie, dlatego po obejrzeniu całości czuć pewien niedosyt. Chciałoby się bardziej posmakować tej historii, otrzymać wyjaśnienia, zobaczyć mniej aspektów wizualnych i przede wszystkim usłyszeć więcej dialogów. Eggers za bardzo skupił się na oprawie filmu, rozciągając sceny z ładnymi ujęciami, żeby później dodać króciutkie rozmowy bohaterów, co niestety nie wszystkim odbiorcom mogło się spodobać. I rzeczywiście po wyjściu z kina może się wydawać, że czegoś tu zabrakło, że coś nie zostało wypowiedziane, a widzowi pozostaje tylko rozmyślanie nad różnymi wątkami lub doczytanie szczegółów w internecie.

Wampirzy kult

Film przedstawia małżeństwo – Ellen, graną przez Lily-Rose Depp, oraz Thomasa, w którego wcielił się Nicholas Hoult. Po wyjeździe męża do Transylwanii kobieta czuje się osamotniona i zaczyna ją nękać ją koszmara o związku małżeńskim ze Śmiercią. Pomocy próbują jej udzielić przyjaciele – Friedrich (Aaron Taylor-Johnson) i jego żona Anna (Emma Corrin) – jednak są oni bezsilni. Dlatego odnajdują profesora von Franza, który specjalizuje się w takich przypadkach. Na nieszczęście Ellen i jej najbliższych okazuje się, że jest ona pod wpływem wampira zwanego Nosferatu.

Wszystkie wątki związane z hrabią Orlokiem (Bill Skarsgård), czyli krwiożerczą, manipulacyjną bestią, są dobrze skonstruowane. Od samego początku jego postać jest spowita tajemnicą, a przez grę światłem nie do końca można ujrzyć jego oblicze, co dodaje mu mroku. Charakterystyka Skarsgård'a działa zdecydowanie na plus, zapewne wystraszył on swoim wyglądem niejednego widza. Pomimo wszystko wampir nie jest zbyt przerażający, bardziej wywołuje odręę i pozostawia niesmak, zwłaszcza po finałowej scenie. Jeśli chodzi o grę aktorską, Skarsgård spisał się na medal. W sposób innowacyjny przedstawił postać hrabiego – jego intonacja jest niesamowita, gdyż samym głosem powoduje gęsią skórkę. Pojawiły się porównania, że jego wersja Nosferatu wyglądem przypomina Władę Pałownika uchodzącego za Drakulę.

Przechodząc do pozostałych członków obsady, trzeba wspomnieć o znakomitym występie Nicholas Hoult'a, szczególnie w pierwszej połowie filmu, w której zasadniczo to on jest głównym bohaterem. Mimiką idealnie ukazuje emocje odczuwane przez Thomasa, kiedy

ten znajduje się w gnieździe nieobliczalnego wampira. Wyraźnie malujący się na jego twarzy lęk jest rewelacyjny!

Uznanie należy się także świetnej Lily-Rose Depp, która zaskoczyła swoimi umiejętnościami. Jest to chyba jej najlepsza rola do tej pory. Miała nietławe zadanie, gdyż to właśnie jej postać jest najważniejsza w całej fabule. Sceny opętania, konwulsji i epilepsji są odrażające, jednak niczym się nie wyróżniają na tle innych horrorów. Ciekawym wątkiem jest lunatyzm, które stawia Ellen pomiędzy jawą a snem i dodaje całości psychologicznego aspektu. Aktorka wzorowo poradziła sobie z ukazaniem udręki, niemocy i nadnaturalnego wpływu, jaki ma na odgrywaną przez nią postać Nosferatu.

Jak zwykle znakomity był też ulubieniec Eggersa – Willem Dafoe – który tym razem zagrał specjalistę od wampirów, pomagającego bohaterom w pozbyciu się potwora.

Świetnie ze swoją rolą szaleńca poradził sobie Simon McBurney wcielający się w Knocka. To on wysłał Thomasa do Transylwanii i już na początku filmu da się wyczuć, że jest podejrzany, bo coś knuje. Jednak dopiero później widz dowiaduje się, o co chodziło i dlaczego nakłonił swojego pracownika do wyjazdu.

Wszyscy bohaterowie poddają się urokowi Orloka i w całym tym szaleństwie nie wiedzą, jak uratować miasto i samych siebie od krwiożerczej bestii. Nosferatu pojawia się w ich snach, nękając i budząc grozę, a także mordując w najgorsze możliwe sposoby.

Mieszane uczucia

Niestety pomimo świetnej historii, pięknych kadrów i w większości znakomitej gry aktorskiej „Nosferatu” nie jest perfekcyjnym horrorem. Jeśli widz idzie do kina z zamiarem obejrzenia krwawego, brutalnego, straszego widowiska, to z pewnością nie znajdzie go w produkcji o obsesyjnym wampirze. Nie można oczywiście powiedzieć, że Eggers nakręcił zły film, jednak rzeczywiście czegoś w nim brakuje i przez to po seansie mogą pojawić się mieszane uczucia.

Po pierwszych zwiastunach wydawało się, że nowa wersja opowieści o Orloku będzie hitem i wreszcie powróci moda na tworzenie gotyckich filmów. Ale po wysokich oczekiwaniach można się trochę rozczarować. Produkcja jest bardzo dobra, ale z bólem serca trzeba przyznać, że ma kilka niedociągnięć ujmujących całości.

Laura PRZYBYŁ
lauprz4@st.amu.edu.pl

Rozpędzony jak „Żółw”

Początek sezonu nie wskazywał na to, że transfer Kyliana Mbappé do Realu Madryt okaże się sukcesem. Francuz długo nie prezentował optymalnej formy, a jego coraz bardziej nieudane występy wywoływały krytykę nie tylko ze strony komentatorów, lecz również kibiców „Królewskich”. Wygląda jednak na to, że Mbappé pokonał już najtrudniejsze. Nawiązał walkę z Robertem Lewandowskim (FC Barcelona) o tytuł najlepszego strzelca La Ligi i zachwycał w najważniejszych meczach, czym znowu przekonał do siebie trenera reprezentacji Francji Didiera Deschamps. Czy Kylian Mbappé poprowadzi Real Madryt do sukcesów w tym sezonie?

W pierwszej części sezonu francuski napastnik nie przypominał samego siebie. W 19 spotkaniach La Ligi rozegranych w zeszłym roku Mbappé trafił do siatki 10 razy. O wiele mniej korzystnie wyglądały statystyki Francuza w fazie ligowej Ligi Mistrzów – w 8 spotkaniach wpisał się na listę strzelców zaledwie trzykrotnie. Zawodnik zawodził w kluczowych spotkaniach, takich jak pierwsze El Clasico w tym sezonie (26 października), które Real Madryt przegrał aż 0-4, czy wyjazdowe spotkanie Ligi Mistrzów z Liverpooliem (27 listopada), na którym Mbappé zamarnował rzut karny, a „Królewscy” przegrali 0-2. „Jedenastki” nie wykorzystał także tydzień później w przegranym 1-2 ligowym meczu z Athleticem Bilbao. Francuz coraz częściej był krytykowany przez kibiców i komentatorów za brak skuteczności, której od niego oczekiwano, gdy przychodził do Madrytu.

Moment zwrotny

To jednak właśnie po meczu z Athleticem nastąpił skok formy zawodnika. Mbappé trafił do siatki w wygranym 3-0 meczu z Gironą oraz w spotkaniu Ligi Mistrzów z Atalantą Bergamo, które Real wygrał 3-2 – Francuz w 36. minucie tego spotkania zszedł z boiska z powodu urazu uda, przez który pauzował w meczu z Rayo Vallecano. Do grania Mbappé powrócił jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Zarówno w wygranym 3-0 meczu z Pachuca o Puchar Interkontynentalny FIFA (zastępujący Klubowe Mistrzostwa Świata w starej formule), jak i ligowym spotkaniu z Sevillą (również wygranym przez „Królewskich” 4-2) piłkarz nie tylko wpisał się na listę strzelców, lecz również zaliczył asystę.

Co mogło mieć wpływ na tak radykalną poprawę gry francuskiego napastnika? Sam Mbappé wskazał, że problemy z początku sezonu miały podłoże mentalne. „Dużo wtedy myślałem, a gdy za dużo myślisz, to nie grasz dobrze” – powiedział po styczniowym meczu z Las Palmas. Co dokładnie miał na myśli Francuz? Prawdopodobnie odnosił się także do spraw pozaboiskowych. Do dziś trwa spór Kyliana Mbappé z jego byłym klubem Paris Saint-Germain o niezapłacone premie w wysokości 55 mln euro. Klub, z którym Mbappé zakończył współpracę po zeszłym sezonie, twierdzi, że napastnik miał się tych pieniędzy zrzec. W połowie października Mbappé został objęty śledztwem w sprawie gwałtu, do którego miało dojść w czasie pobytu w Sztokholmie podczas październikowej przerwy reprezentacyjnej (Mbappé nie został powołany, oficjalnie ze względu na kontuzję). 12 grudnia szwedzka prokuratura poinformowała o zamknięciu śledztwa z powodu braku dowodów.

Hat-trick z Manchesterem City

I choć w pierwszych trzech spotkaniach po przerwie noworocznej Francuz nie trafił do siatki, to efektowne występy przysły niewiele później. Jednym z nich z całą pewnością był mecz Realu Madryt z Las Palmas 19 stycznia, w którym Mbappé zdobył dublet i tym samym przyczynił się do zwycięstwa „Królewskich” 4-1. Miał szansę na hat-tricka, jednak przy trzecim gołu był na spalonym. Powiedzenie „co się odwlecze, to nie uciesze” sprawdziło się już tydzień później w pojedynku z Realem Valladolid. Kylian Mbappé mógł wtedy cieszyć się ze swojego pierwszego hat-tricka w barwach „Królewskich”, wykorzystując rzut karny w doliczonym czasie meczu.

Na następny, równie efektowny występ w wykonaniu francuskiego napastnika musieliśmy czekać do 19 lutego, kiedy na Santiago Bernabeu Real Madryt pokonał Manchester City w rewanżowym meczu play-offów o fazę pucharową Ligi Mistrzów. Już w 4. minu-

cie meczu Mbappé wykorzystał wrzutkę na wolne pole od Raula Asencio, przełobował bramkarza i po raz pierwszy trafił do siatki drużynie z Anglii. Drugi raz dokonał tego w 32. minucie spotkania, natomiast kolejnego już hat-tricka skompletował w 61. minucie efektownym strzałem ze skrajnego pola karnego. Dla Manchesteru City honorowego gola strzelił w doliczonym czasie gry Nico Gonzalez, jednak nie miało to już żadnego znaczenia dla wyniku dwumeczu – tydzień wcześniej na Etihad Stadium „Królewscy” wygrali 3-2 (Mbappé strzelił w 60. minucie). Francuz przyczynił się do przedłużenia nadziei Realu Madryt na obronę zdobytego w poprzednim sezonie triumfu w najbardziej prestiżowych, europejskich rozgrywkach klubowych.

Zadyszka?

Dobra forma Kyliana Mbappé nie umknęła uwadze trenera reprezentacji Francji Didiera Deschamps'a, który zdecydował się powołać napastnika Realu Madryt na marcowe mecze z Chorwacją w ćwierćfinałach Ligi Narodów. Jednak po tak spektakularnym występie – jak się okazało – dobrze funkcjonująca maszyna do strzelania goli się zacięła. W wygranym 2-0 ligowym meczu z Gironą Mbappé nie trafił do siatki ani razu, lecz zaliczył asystę przy gołu Viniciusa w 83. minucie, który ustalił wynik spotkania. W następnym, półfinałowym meczu Pucharu Króla z Realem Sociedad Francuz nie zagrał z powodu... usunięcia zęba, ponieważ zabieg, który przeszedł dzień przed meczem, wykluczył go z treningów. W kolejnych spotkaniach – przegranym 1-2 z Realem Betis w lidze oraz wygranym 2-1 z Atletico Madryt w Lidze Mistrzów – Mbappé do siatki nie trafił. Klub wdrożył zatem specjalny plan treningowy dla Francuza, którego celem był powrót piłkarza do najlepszej dyspozycji.

Napastnik „Królewskich” w swojej karierze wychodził jednak z takich kryzysów z powodzeniem, więc prawdopodobnie tak samo będzie również w tym przypadku. Warto śledzić dalszy rozwój sytuacji związanej z formą Francuza, który w Madrycie ma wreszcie przestrzeń nie tylko do sukcesów w europejskich pucharach, lecz także w La Lidze, która jest znacznie bardziej prestiżowa od francuskiej Ligue 1, lecz też bardziej wymagająca od swojego francuskiego odpowiednika.

Jacek DOBIAŃSKI
jacdob2@st.amu.edu.pl

Fantastyczny świat prywatyzacji



Miejskie kluby – w jednym miejscu miesza się sport, polityka i publiczne pieniądze

Lawina zmian właścicielskich zespołów Ekstraklasy ruszyła. W ostatnich miesiącach zainteresowanie polską piłką wykazuje coraz więcej inwestorów, jednak kluby miejskie pozostają w tym procesie na ubożu. Mimo sprzyjających warunków urzędnicy i radni nie potrafią doprowadzić do ich sprzedaży. Słowo „prywatyzacja” włożono między bajki, którymi straszy się dyrektorów sportowych.

Trudno o bardziej oczywisty przykład przenikania się świata sportu i polityki niż kluby miejskie. Działają jak relikwiry PRL-u – nie liczy się skuteczne zarządzanie, tylko utrzymanie „stolków”. Mądre inwestycje nie są potrzebne, bo każdą dziurę finansową można zasypać dotacjami z pieniędzy podatników. Takich klubów w Polsce jest nadzwyczaj dużo. Ekstraklasa, dążąca do zajęcia piętnastego miejsca w rankingu UEFA, ma najwyższy stosunek podmiotów miejskich do prywatnych wśród dwudziestu czołowych lig. Mimo deklarowanej chęci zmiany tego trendu – konkretnie brakuje.

Śląsk Wrocław i „Pustkowie Smauga”

Przed oddaniem zespołu – Śląsk Wrocław – w prywatne ręce najbardziej wzbrania się prezydent Wrocławia, Jacek Sutryk, choć dwa lata temu obiecywał to lokalnym kibicom. Śląsk walczył wówczas o utrzymanie, a polityk wypatrzył okazję do zdobycia poparcia w zbliżających się wyborach. Umowa była prosta – wy na mnie zagłosujecie, ja wystawię klub na sprzedaż. To znaczy większą część klubu, bo miasto chciało zachować 20% wpływów w spółce prawdopodobnie dla korzyści wizerunkowych i z powodu zarządzania miejskim stadionem. Pod koniec maja 2023 roku radni Wrocławia przegłosowali wystawienie Śląska na sprzedaż. Od czerwca oczekiwano na oferty.

Głównych zainteresowanych było dwóch. Podejrzana spółka „Mada Global” z Paolo Urferem na czele i firma „Westminster” Mariana Zbierskiego. Ta pierwsza przejęła później Lechię Gdańsk, a z tą drugą przeprowadzono rozmowy inwestycyjne. Śląsk Wrocław wyceniono na 8,5 miliona złotych, pozostało tylko doprecyzowanie szczegółów.

W międzyczasie Jacek Sutryk wygrał wybory na prezydenta miasta, rozpoczynając swoją drugą kadencję, a Śląsk Wrocław zaskakująco został wicemistrzem Polski. Firma „Westminster” wciąż czekała na finalizację transakcji. W kluczowym momencie miasto podniosło wycenę wartości klubu do 50 milionów złotych, co wielokrotnie przekroczyło realne stawki rynkowe. Możliwe, że Sutryk przeliczył wyniki sportowe na swój polityczny kapitał i pozytywny PR, lecz niemieckie przedsiębiorstwo racjonalnie wycenilo się z zakupu. Nowego inwestora nie znaleziono.

Od 2018 roku, czyli momentu, gdy aktualny prezydent Wrocławia obejmował stanowisko, do dziś w ramach dotacji przelano na konto Śląska ponad 110 milionów złotych. Mimo rekordowego wsparcia finansowego klub w 2023 roku zanotował stratę na poziomie 26,8 miliona złotych. Można stwierdzić, że nie jest to szczególnie dotkliwe, ponieważ gmina Wrocław ma duże możliwości inwestycyjne, jednak kibice są teraz niejako zakładnikami niekompetentnych władz. „Wojskowi” leżą na publicznych pieniądzach jak Smaug w górach złota Ereboru. Być może lokalni inwestorzy obudzą się i pójną odzyskać Śląsk Wrocław, tak jak Thorin Dębowa Tarcza i jego krasnoludy.

Górniki Zabrze „Komnatą Tajemnic”

Po wielu latach zapowiedzi na zakończenie kariery do Górnika Zabrze przeszedł Lukas Podolski – legenda piłki nożnej, która odniosła sukcesy w najlepszych ligach świata. To także jedna z niewielu osób mogących krytykować władze swojego klubu bez obaw o konsekwencje. Postulaty Podolskiego od początku odnosiły się do jednego – prywatyzacji. Górnik przez lata był polityczną zabawką byłej prezydentki Zabrze, Moniki Mańki-Szulik. W klubowych korytarzach nosiła pseudonim „Caryca”. Rządziła despotycznie, gardząc krytyką w swoją stronę.

Gdy zespół zasilili polsko-niemiecki skrzydłowy z hasłami o budowie wielkiego Górnika, przede wszystkim chciał on wprowadzić do spółki prywatnego przedsiębiorcę. Zdawał sobie sprawę, jaki wpływ na rozwój klubu będzie miała ta decyzja. Poza aspektami sportowymi przekazywał „know-how” z zagranicznych zespołów, ponieważ sam pomagał przy przeprowadzaniu transferów i pozyskiwał sponsorów do współpracy. Mimo to wszystkiego było wciąż za mało, gdyż jak mówił Albus Dumbledore: „Hogwart nie pomoże tym, którzy nie chcą pomocy”. Tak właśnie wyglądała sytuacja z Moniką Mańką-Szulik. Najważniejsze dla niej nie było dobro zespołu, a polityczne zyski, jakie mogła osiągnąć podczas wyborów.

Zabrze to fenomen na skalę kraju. Miasto ma ponad 150 tysięcy mieszkańców, z czego stadion pomieści aż 31 tysięcy osób. To ponad 20% ludności! Tym samym to spory kapitał wyborczy, dlatego dla prezydentki miasta to gwarantowana wygrana. „Caryca” prywatyzację zapowiedziała, lecz po ewentualnym wygraniu wyborów sprawę chciała przemilczeć. Społeczeństwo zagłosowało jednak za rekomendacją Lukasa Podolskiego. Tak jak można było przewidzieć, Monika Mańka-Szulik wybory przegrała. Nową prezydentką miasta została Agnieszka Rupniewska.

Podolski zaproponował nowym władzom rzetelnego inwestora i od tego czasu... cisza. Górnik Zabrze stał się „Komnatą Tajemnic”, bo choć radni przegłosowali sprzedaż klubu 20 listopada poprzedniego roku, to do dziś nie ma żadnych informacji w tej sprawie.

Korona Kielce jako nowa nadzieja

Pierwsza z marazmu własności publicznej wyrwała się Korona Kielce. Nowym właścicielem 6 marca został świętokrzyski przedsiębiorca, Łukasz Maciejczyk – wieloletni kibic Korony oraz lokalny działacz. Jest tym, kim dla Rebelii był Luke Skywalker, czyli nową nadzieją.

Dotychczas pieczę nad klubem sprawował prezydent miasta wraz z radnymi. Jednym słowem, to oni, zamiast osób kompetentnych w sprawach sportowych, podejmowali najważniejsze decyzje dotyczące zarządzania. Nie pomógł fakt, że pomiędzy prezesem Korony, Łukaszem Jabłońskim, a prezydentem Kielce, Bogdanem Wentą, trwał wieloletni konflikt na tle podziałów partyjnych. Z tego powodu „Szczyrykom” bardziej niż pieniądze brakowało spokoju i odcięcia się od polityki.

Mimo że Korona unikała nadmiernego zadłużenia, a publiczne dotacje trafiały wyłącznie na nieprzewidziane wydatki, nowa prezydentka miasta, Agata Wojda, zapowiedziała wstrzymanie finansowania zespołu. Temat nie naglił, więc mijający czas tylko pogłębiał konflikt interesów wewnątrz spółki. Przez polityczne intrygi ze sponsorowania klubu wycofała się firma „Suzuki” odpowiadająca za 30% budżetu. Motoryzacyjny gigant wspierał złocisto-krwistych nawet w trudnym okresie spadku ze szczybli Ekstraklasy. Niejasna sytuacja zarządcza i samorządowe wpływy jednak negatywnie odbijały się na jego wizerunku, co skłoniło markę do zakończenia współpracy.

Po kilku audytach klub wyceniono na 100 tysięcy złotych. Początkowo największe zainteresowanie wykazywała tajemnicza spółka Cezarego Kucharskiego i Mariusza Siewierskiego, która nie deklarowała źródła finansowania. Zapewniali, że mieli pieniądze, lecz to skąd je mają, pozostawało tajemnicą. Na szczęście dla Korony znalazł się Łukasz Maciejczyk. Oprócz zakupu za 100 tysięcy złotych zobowiązany był do dokapitalizowania spółki o kolejne 6,5 miliona złotych (na bieżące wydatki). Dodatkowo umowa z miastem wciąż gwarantuje klubowi dotacje w wysokości 2,5 miliona złotych przez 5 lat. W ten sposób prezydentka Wojda pozbyła się problemu, który wciąż musi finansować.

Dziennikarze patrzący władzom miejskim na ręce coraz częściej apelują o zdrowy rozsądek. Poza wspomnianymi w artykule zespołami są jeszcze między innymi Piast Gliwice, Podbeskidzie Bielsko-Biała, Sandecja Nowy Sącz czy Wisła Płock, w której przypadku radny, będący zarazem wpływową osobą w klubie, kolejne dofinansowania tłumaczy słowami: „Bo chcemy i możemy”. Dla polskiej piłki nie jest to zdrowe rozwiązanie i nie sprzyja rozwojowi, ale na pewno jest bezpieczne. Miejskie kluby nie upadają. Przepalają fundusze, aby tylko utrzymać się przy życiu. Trwają w stagnacji ku uciesze władz, bo gdy nie ma sukcesów sportowych, kibiców na stadionach też brakuje.

Filip SZYMKOWIAK
filszy10@st.amu.edu.pl



Według raportu Bartłomieja Gawreckiego od 2016 roku przeznaczono pół miliarda złotych na polskie kluby piłkarskie

Zmiana czy upadek?

Dlaczego tak uwielbiany i generujący niebywałe przychody na całym świecie sport ostatnimi czasy niezwykle traci w oczach fanów? Takie pytanie coraz częściej zadają sobie sympatycy futbolu, chociaż eksperci temat pomijają, tak jakby problem nie istniał. Mimo to każdy zaangażowany fan zgodzi się z tezą, że jeszcze piętnaście lat temu piłka nożna była zupełnie inna, raczej... była lepsza. Należałoby się zastanowić, w jakim kierunku tak naprawdę zmierzamy i czy jest on właściwy?

W 2012 roku reprezentacja Hiszpanii wygrała Euro rozgrywane w Polsce i Ukrainie. Od początku była faworytem do zdobycia trofeum, jednak nikt nie przewidział, jak wielki finał imprezy wpłynie na dzisiejsze myślenie taktyczne. W finale Hiszpanie widowiskowo pokonali wcześniej doskonale dysponowanych Włochów, kończąc mecz stanem 4:0. Wydawałoby się – normalny mecz, wybitna gra Hiszpanów i zasłużony wynik. Vicente del Bosque jednak zachwycił cały świat swoim podejściem do tego spotkania.

Rewolucja taktyczna

„La Furia Roja” wyszła na mecz bez napastnika, klasycznej „dziewiątki”. Było to coś niespotykanego, nikt wcześniej nie brał nawet takiego ustawienia pod uwagę. Hiszpania w formacji 4-3-3 wykorzystwała aż sześciu pomocników w podstawowej jedenastce. Pierwszym napastnikiem, który pojawił się wtedy na boisku po stronie Hiszpanów, był Pedro Rodriguez. Wszedł dopiero w 59. minucie – tyle że wynik wynosił już 2:0 dla aktualnych wtedy mistrzów świata.

Taktyka del Bosque to jeden z kilku przełomowych punktów rewolucji taktycznej w dzisiejszym futbolu. Najlepiej było to widać podczas Euro 2024 w Niemczech, gdy wiele drużyn zastosowało takie ustawienie. Czym to skutkowało? Niesamowitą nudą na boisku. Reprezentacje, pomimo że miały w swoich szeregach świetnych atakujących, nierzadko broniły się jak mogły, żeby grać bez nich. Dobrym przykładem są gospodarze turnieju – Niemcy. Najczęściej grali dwójką Jamal Musiala i Florian Wirtz, czyli ofensywnymi pomocnikami. Füllkrug, który miał niesamowity sezon w BVB, zagrał w finale Ligi Mistrzów, a na Euro wchodził jedynie z ławki rezerwowych. Podobnie grały reprezentacje Holandii czy znów Hiszpanii.

W piłce klubowej podobny pomysł miał Guardiola, dlatego prowadzony przez niego klub przez jakiś czas grał bez nominalnego napastnika. Real Madryt w poprzednim sezonie również zastosował taką taktykę. W grze zespołu było widać niesamowitą powtarzalność, niestety w złym sensie – były to dwa, może trzy schematy nieustannie i aż do skutku grane skrzydłami. Kto chciałby oglądać taki sam mecz przez cały sezon? Guardiola poradził sobie jednak lepiej z tą taktyką. Było widać, że piłkarze się rozumieją, doskonale wymieniają się pozycjami i to po prostu miało sens. Niestety Guardiola jest jeden, del Bosque już dawno nie trenuje, a tendencja gry bez „dziewiątki” jest wciąż wznosząca.

Często mecze na najwyższym poziomie wyglądają jak szachy. Taktyki są tak dopracowane, że drużyny mniej odsłaniają się w defensywnie, ale też mniej atakują. Zawodnicy dużo częściej grają bezpiecznie, strzelając „tap-iny”, na czym oczywiście traci widowski. Można powiedzieć, że częściej widzujemy na boisku roboty zaprogramowane do realizowania skomplikowanej taktyki niż rzeczywistych piłkarzy.

„Streets will never forget”

W dzisiejszym futbolu widzimy także ogromny spadek liczby zawodników, których kiedyś nazwalibyśmy „streetballer” – nieustraszeni, przebojowi, najczęściej skrzydłowi, którzy potrafili wręcz upokarzać obrońców drużyny przeciwnej swoimi umiejętnościami. Większość pamięta, co z piłką i przeciwnikami potrafił robić Douglas Costa czy młody Neymar. Teraz wydaje się, że ten „brazylijski gen” zanika. Mowa tutaj oczywiście o niebywałych sztuczka-kach, które młodzież próbowała odtwarzać na orlikach (należy pamiętać o różnicy między sztuczka-kami a dryblingiem). Dzisiaj jest wielu niesamowitych dryblerów, jak na przykład Jamal Musiala czy Bernardo Silva, którzy opanowali kontrolę piłki niemal do perfekcji, lecz ich ruchy nawet przy najlepszym wykonaniu będą bardziej przewidywalne niż chociażby „rainbow flick” nad głowami obrońców.

Do stwierdzenia „streets will never forget” można dopasować praktycznie każdy typ zawodnika na boisku. Doskonałym przykładem byłby Ramires – brazylijski środkowy pomocnik de-



W ostatnich latach piłka nożna zawodzi miliony kibiców na świecie, ale dlaczego tak jest?

fensywny, niezwykle szybki, niezawodny „box to box” kojarzony głównie z klubem Chelsea. Najbliżej takiego profilu zawodnika w tej dekadzie był N’Golo Kante.

A gdzie szacunek?

Wiadomym jest, że piłka nożna od zawsze budziła w kibicach wiele emocji, a szczególnie emocjonujące były różnego rodzaju derby – El Clasico, der Klassiker czy derby Mediolanu. Dziś ranga takich spotkań jest mniejsza, wielu twierdzi, że El Clasico umarło wraz z ostatnim meczem przeciwko sobie Messiego i Ronaldo, że derby Mediolanu to tylko kolejne pograżanie się Milanu. Ale czy tak jest naprawdę?

Niestety w piłce nożnej negatywne emocje często przeważają nad tymi pozytywnymi. Oczywiście hejt i różnego typu negatywne sytuacje istniały od zawsze, lecz to, co dzieje się obecnie, jest niewyobrażalne. Sport, który odrywał nas od problemów, przynosił radość poprzez uprawianie lub oglądanie, dziś nie przypomina siebie samego. Każdy jest przeciwko każdemu, próbując umniejszać rywalowi, innym drużynom i kibicom. Kibicujesz Manchesterowi City lub PSG – jesteś sezonowcem, Realowi Madryt – „glory hunter”. Interakcje między kibicami niesamowicie się zmieniają. Doczekaliśmy czasów, w których mówienie otwarcie, że kibicujesz drużynie ze względu na zawodnika, który w niej gra, jest wyśmiewane. Sport powinien nas łączyć, a nie dzielić. Bardzo często pojawiają się też „debaty” o tym, czy lepszy jest Cristiano Ronaldo czy Messi, polegające tylko na podawaniu bezsensownych argumentów w celu zdenerwowania swojego rozmówcy. To nie bierze się oczywiście znikąd, fani, widząc różne zachowania zawodników, myślą, że to jest „ok” i robią to samo. Przykładów jest ogrom – Lionel Messi wyzywający Wouta Weghorsta po tym, jak Argentyna wyeliminowała Holandię z mistrzostw świata, prowokacje Viniciusa Jr, Pablo Maffeo, Gavięgo i wielu innych.

Takie zachowania prowadzą do karygodnych sytuacji, jak na przykład wieszanie na moście kukiel z napisem „Vinicius”, jak zrobili to kibice Atletico Madryt. Wiadomo, co to miało oznaczać, tak samo jak wielokrotne skandowanie „Vinicius – umrzyj” przez kibiców różnych klubów La Ligi. Są to oczywiście skrajne sytuacje, jednak już nikt nie kryje się z nienawiścią do klubów czy zawodników, ponieważ jest już ona aż tak powszechna, każdy się na nią godzi.

A za co nagrody?

Nie jest tajemnicą, jak wygląda system nagradzania zawodników za ich osiągnięcia w ostatnich latach, i że przestał on być miarodajny. Mowa w szczególności o gali Ballon d’Or. Głosujący dziennikarze często wydają się laikami nieoglądającymi piłki nożnej lub „ekspertami” przyznającymi punkty za nazwisko. Tak swoją Złotą Piłkę przegrał między innymi Robert Lewandowski w 2021 roku. Na głosy ma też nierzadko wpływ sympatia do danego zawodnika lub jej brak. Na przykład Vinicius Junior zajął drugie miejsce podczas poprzedniej gali złotej piłki, wygrał La Ligę, Ligę Mistrzów, został wybrany zawodnikiem meczu w finale przeciwko ekipie BVB, miał świetne statystyki pomimo pauzy spowodowanej kontuzjami. Wszystko to nie wystarczyło jednak, żeby znaleźć się nawet w dziesiątce najlepszych piłkarzy wybieranej przez dziennikarzy. Nie tylko doroczne nagrody są niemiarodajne. Kevin De Bruyne – jeden z najlepszych pomocników w historii Premier Lea-

gue – nigdy nie wygrał nagrody gracza miesiąca. Takich przypadków jest niestety mnóstwo.

Rola mediów

Każdy fan piłki nożnej skądś czerpać o niej informację musi. I zazwyczaj są to różnego rodzaju media. Niestety rzadko można trafić na w pełni obiektywne źródła informacji. Większość dziennikarzy ma swoje drużyny, które przedstawia lepiej, a inne gorzej. Wszyscy jednak kreują w jakiś sposób rzeczywistość. Śledząc tylko jedno dowiemy się, że żaden przedstawiciel Realu Madryt nie pojawił się na gali złotej piłki, bo ma zdobyć ją Rodri, ale te same media nie powiedzą nam o tym, że piłkarze Manchesteru City nie zjawili się na gali UEFA Best, bo tam wygrać miał Vinicius. Tak samo jedni będą kreować Messiego jako najlepszego piłkarza w historii, nie pokazując jego złych zachowań i ubliżając Ronaldo, a inni zrobią to samo tylko z Cristiano i będą krytykować jego rywala. Prawie niemożliwe jest zachować trzeźwość umysłu w tym wszystkim.

Inną dziedziną, w której media mają nad nami przewagę, jest sędziowanie. Zwłaszcza w La Lidze. Poziom sędziowania jest wybitnie niski, liczba popełnianych w każdym meczu błędów z trwającą, a media w zależności od dziennikarzy wyróżniają najczęściej trzy zespoły, którym sędziowie pomagają lub przeszkadzają: FC Barcelona, Real Madryt lub Atletico Madryt.

Kwestia Arabii Saudyjskiej

Jeszcze dziesięć lat temu kierunkiem „piłkarskiej emerytury” były Stany Zjednoczone Ameryki i tamtejsza MLS. Jeżeli ktoś chciał zarabiać pieniądze, to przeniósł się do Chin, tak jak Oscar czy Hulk, tylko że było to uważane za koniec kariery zawodnika. Gdy ten wracał do Europy, był uważany najczęściej za „flop”, tak jak Yannick Carrasco po powrocie do Atletico Madryt. Dzisiaj kierunek jest jednak inny – Arabia Saudyjska. Wszystko za sprawą transferu Cristiano Ronaldo do klubu Al-Nassr. Za Ronaldo poszła cała fala zawodników. Saudyjczycy najpierw skupiali się na piłkarzach doświadczonych, takich jak Karim Benzema, Fabinho czy N’golo Kante. Coraz częściej jednak ten kierunek wybierają także młodszy zawodnicy, którzy tak naprawdę mogliby mieć jeszcze całą karierę przed sobą, a przenoszą się do Arabii Saudyjskiej.

Gabri Veiga trafił tam w wieku 21 lat. W niedawno zakończonym zimowym oknie transferowym w Al-Nassr znalazł się wschodzący gwiazdor Premier League – Jhon Duran, a do Al-Ittihad trafił Moussa Diaby. Przykładów jest oczywiście o wiele więcej, lecz od razu nasuwa się pytanie, gdzie w tym wszystkim jest pasja? Kiedyś przystanek w Chinach, Katarze czy Arabii był równoznaczny z końcem europejskiej kariery, brakiem możliwości powrotu, a jeśli już, to co najwyżej „grzaniem ławy”. Młodzi zawodnicy, którym dane było zrealizować marzenia wielu z nas – zagrać w europejskich topowych ligach czy nawet europejskich pucharach – wybierają pieniądze szejków ponad pasję.

Koniec złotej generacji

Nasi dziadkowie dorastali, oglądając takie legendy jak Pelé, Ferenc Puskás czy Gerd Müller. Rodzice wpatrywali się w Ronaldo Nazario, Zidane’a, Ruud’a Gullita, Ronaldinho. My mieliśmy niesamowite szczęście, trafiając na jedną z najlepszych generacji w całej historii. Oglądaliśmy Messiego, Ronaldo, Neymara, Garetha Bale’a, Edena Hazarda, Sergio Ramosa, Luisa Suareza i wielu, wielu innych w ich szczytowej formie. To było coś niesamowitego, a teraz wszystkie legendy powoli odchodzą w cień.

Naturalnie oczekujemy godnych następców, tylko że nie jest to wcale takie proste. Aktualni zawodnicy są świetni, ale czy którykolwiek z dzisiejszych lewych obrońców zbliżył się chociaż do poziomu Marcelo? Takie pytania możemy stawiać przy większości boiskowych pozycji. Nie umniejszając aktualnym gwiazdom, generacja około 2010 roku była czymś wyjątkowym w skali całej historii tego sportu.

Na koniec

Piłka nożna tak jak każdy inny sport ewoluuje, zmienia się, tylko czy na lepsze? A może jednak gdzieś zablądziłyśmy w poszukiwaniu ideału? Zmiany są potrzebne, żeby rozwijać się, a nie stać w miejscu. Wprowadzenie systemu VAR to świetna koncepcja, lecz czy sędziowie dobrze z niego korzystają? Bezpieczna taktyka ma sens, tylko czy nie jest ogromnym krokiem wstecz dla jakości widowiska – tego co najważniejsze dla fanów?

Warto też podkreślić znaczenie absolutnie przepełnionego kalendarza rozgrywek. Spotkań jest za dużo, a rozgrywek nie ubywa. Przez to pojawia się coraz więcej kontuzji, kadry meczowe się kurczą, rekonwalescencja musi następować szybciej i szybciej, dlatego następne urazy to tylko kwestia czasu. Warto w tym szaleństwie szukać jednak skrawka radości i przyjemności – bo dla kibiców tym powinno być obcowanie ze sportem.